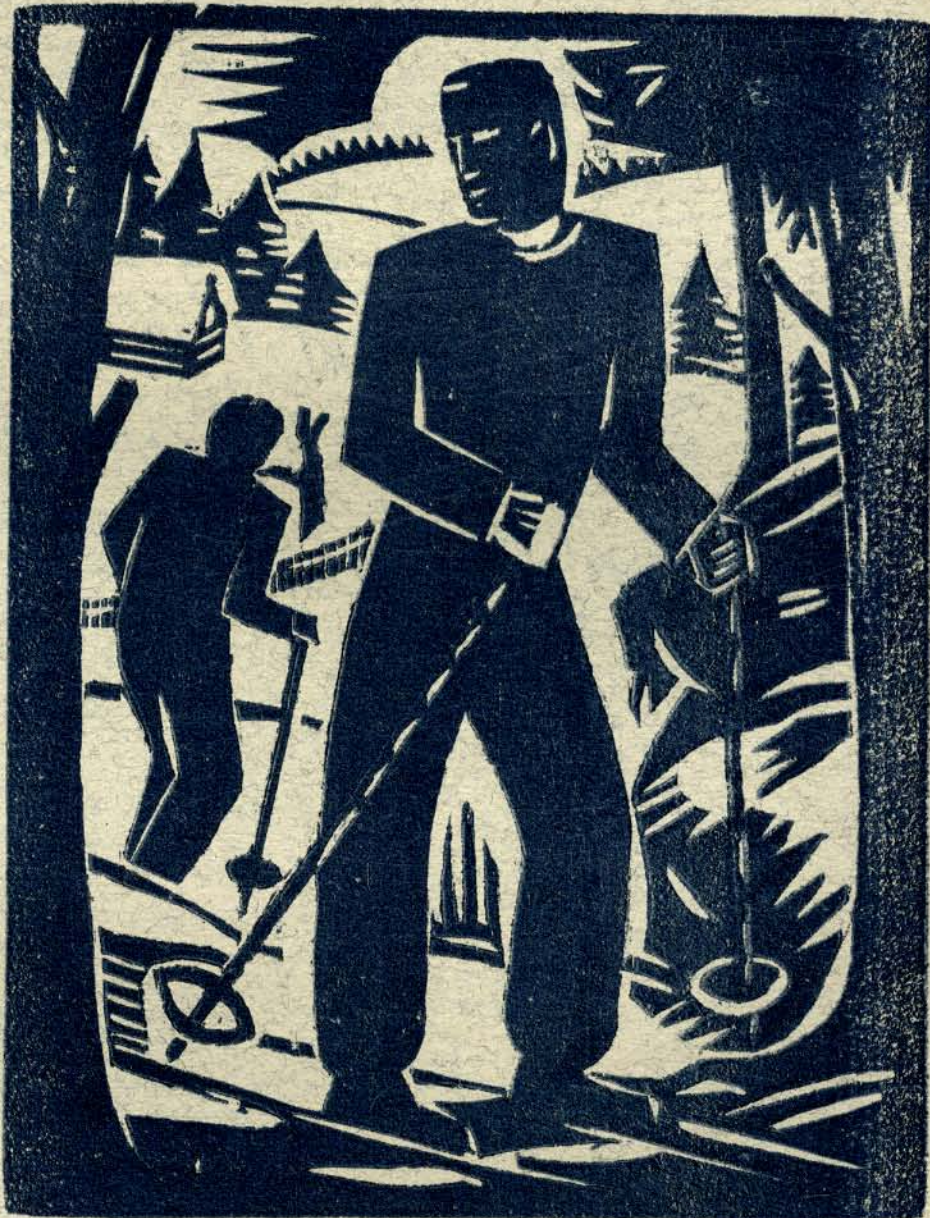


organ klubu włóczęgów w Wilnie

Włóczęga



Narciarz

J. Langhammer

R. IV

Nr 2

TREŚĆ NUMERU:

Dokąd idzie Litwa. — Rezolucja Klubu z dnia 17.1.1936 r. — O inwestycje dla Wilna *Ost.* — Na marginesie procesu „jedenastu“. — Na peryferjach życia litewskiego *gel.* — Na odcinku rolniczym *Stanisław Symonowicz.* — Jan Bułhak: trzydziestopięciolecie pracy artystycznej *Gracjan Achremowicz.* — W zrodzaku teatralnym *Zygmunt Falkowski.* — O „Lutni“ słów parę *Kret.* — Książki i czasopisma. — Rzecznieskończona (sztuka w 3-ach aktach) *Władysław Arcimowicz.* — Z Akademickiego Klubu Włóczegów. — Włóczęga u siebie. — Gorzkie żale.

„BIBLIJOTECZKA WŁÓCZĘGI“

- 1) Józef Poniatowski:
Polesie w strukturze gospodarczej Polski
- 2) Marja Znamierowska-Prüfferowa:
Muzeum na wolnem powietrzu w Wilnie
- 3) 18 ohydnych paszkwilów na Wilno i Wilnian

MOŻNA NABYĆ W ADMINISTRACJI „WŁÓCZĘGI”
(WILNO, PRZEJAZD Nr. 12) ORAZ W KSIĘGARNIACH

CENA TOMIKU — 50 GROSZY

WARUNKI PRENUMERATY: za 12 numerów — 5 zł. Konto P. K. O. Nr. 143.427, TEODORA NAGURSKIEGO
CENA OGŁOSZEŃ: 1/4 strony—50 zł., 1/2 strony—25 zł., 3/4 strony—15 zł., 1/8 strony—10 zł., z zastrzeżeniem miejsca 25% drożej
Ogłoszenia przyjmuje administracja pisma i biuro ogłoszeń Grabowskiego, ul. Garbarska 1.

Komitet Redakcyjny i Wydawca: KLUB WŁÓCZEGÓW.

Odpowiedzialny redaktor: PIOTR HERMANOWICZ

Redakcja: Wilno, ul. Bobrujska 19 m. 2, tel. 20-36, godz. 16—17.

Administracja: Wilno, ul. Przejazd 12, tel. 16-90, godz. 15—16.

ZAKŁADY GRAFICZNE „ZNICZ” W WILNIE, UL. BISKUPA BANDURSKIEGO 4. TELEFON 3-40.

Dokąd idzie Litwa

Kwestja litewska, czy zagadnienie stosunków polsko-litewskich nie od dnia dzisiejszego zaprzęta uwagę Klubu Włóczęgów. Kwestja ta — to dziedzina, której od sześciu lat poświęcamy maksimum uwagi zarówno na zebraniach dyskusyjnych, jak i w wystąpieniach prasowych. Nie będziemy powtarzali znanych już dobrze naszych postulatów, ograniczając się do podkreślenia paru głównych założeń. Głównem zadaniem Polski w Europie północno-wsch. jest naszym zdaniem grupowanie państw Bałtyckich i Skandynawskich wokół siebie, celem stawienia skutecznego oporu Rosji i Niemcom w ich odwiecznych dążeniach zaborczych. Dążymy do nawiązania stosunków dobrego współżycia sąsiedzkiego między Państwem Polskiem a Państwem Litewskim, w przekonaniu, że niepodległość Litwy jest możliwa tylko w oparciu o silną Polskę.

Ludność polska w Litwie i ludność litewska w Polsce winny korzystać na zasadach wzajemności z wszelkich swobód w dziedzinie kultury. Mniejszości te winny korzystać z jednej i drugiej strony granicy, z autonomji kulturalnej. Jest to zgodne z całą historją stosunków polsko-litewskich. Wyrazem tych naszych założeń jest też rezolucja, umieszczona w dzisiejszym numerze, a dotycząca nieustającej fali represyj antypolskich w Litwie.

Powody tych represyj, budzących zrozumiałą wstręt i odrazę, są nam dobrze znane. Wiemy, że podstawą główną polityki nacjonalistów kowieńskich jest dążność do konsolidacji narodowej litewskiego społeczeństwa pod osłoną chińskiego muru — braku stosunków z Polską. Gdyby zabrakło czynu zbrojnego Józefa Piłsudskiego w latach 1919 i 1920 i Wilno przeszło w ręce litewskie, niewątpliwie Litwini wynalęzliby inną kość niezgody z Polską. Byłoby nią Grodno, Białystok, ba — nawet Brześć, który przecież nazywa się Litewski. Wiemy, że w przekonaniu Litwinów, Polacy są odpowiedzialni za losy narodu litewskiego w czasach od XIV do XIX wieku, (Litwini nie chcą obarczać tą odpowiedzialnością swoich wielkich wodzów — jak Witolda). Jednocześnie Litwini czują niepożyty potęgę kultury polskiej — i boją się jej. Tem się tłumaczy i 15 lat braku stosunków z Polską i uporczywe, a coraz to potęgające się, tępienie polskości w Litwie. Bodaj, że władcy kowieńscy chętnieby poświęcili Litwinów, zamieszkałych w Polsce, byleby tylko wynarodowić Polaków, zamieszkałych w Państ-

stwie Litewskim. Do tej ewentualności Polska nie dopuści. Uważamy, że Rzeczpospolita jest państwem dostatecznie silnem i skonsolidowanem, by upomnieć się o prawa do życia Polaków w Litwie. Rzeczpospolita nie potrzebuje w tym celu poniżać się do retorsyj. Ma w ręku argumenty skuteczniejsze.

Jedno jest jednak najzupełniej nie do wytlumaczenia w polityce Litwy. Przecież w gruncie rzeczy czołowi politycy litewscy zdają sobie sprawę z tego, że Litwa dopóty jest bezpieczna, dopóki mocna jest straż polska nad dolną Wisłą. Silna Polska broni Litwy również od Wschodu. Jakąż niekonsekwencją polityczną jest wobec tego dążność do osłabienia Polski przez popieranie ruchu wywrotowego ukraińskiego. Nie mówimy tutaj o swoistej działalności p. Zau-niusa, organizującego i finansującego mord polskiego Ministra. Nad moralną sylwetką tego „męża stanu“ Litwy można przejść do porządku dziennego. Gorzej jest, że „Surma“ w dalszym ciągu jest drukowana w Kownie, skąd podobno również w dalszym ciągu płyną pieniądze na O. U. N. Tego rodzaju polityka litewska, pomijając już nawet jej stronę moralną — jest pro prostu samobójczą dla Litwy.

Nasuwa się pytanie, dokąd zdąża Litwa? Sytuacja jej jest w dobie obecnej nad wyraz ciężka. Wewnątrz kraju — sroży się kryzys gospodarczy, tem silniejszy, im później się rozpoczął. Waluta litewska straciła równowagę. Lud litewski, gnębiony przez kryzys, pozabawiony reprezentacji parlamentarnej, trzymany za gardło przez permanentny stan wojenny i kagańcowe ustawy — zaczyna burzyć się. Chłop litewski jest trudny do rozkołysania, zato gdy się raz ruszy — jest w równej mierze trudny do uspokojenia. Z Niemcami Litwa przegrała ciężką walkę o litewskość Kłajpedy, i miast zlagodzenia się stosunków po swej kapitulacji — jest w dalszym ciągu przedmiotem ataków. Z Polską — stosunki nie zmieniły się na lepsze, odwrotnie wykazują wyraźne tendencje pogorszenia.

Jako jedyne antidotum na chaos wewnętrzny — Rząd Litewski wydaje dalsze ustawy policyjne i... organizuje zjazdy narodowców, które wyrażają posłuszenie i zadowolenie z dotychczasowej polityki Rządu. Jedyńą reakcją na fatalną sytuację międzynarodową Litwy jest tworzenie z niej place d'armes Sowietów...

Na bardzo śliską drogę wkroczyła Republika Litewska.

REZOLUCJA POWZIĘTA NA 198-em ZEBRANIU KLUBU WŁÓCZĘGÓW Z DNIA 17.I.1936 R.

W związku z nasileniem prześladowań polskości na Litwie Klub Włóczęgów deklaruje swoją solidarność z oburzeniem, które z powodu tych prześladowań ogarnęło społeczeństwo wileńskie. Wierzymy, że Rząd Rzeczypospolitej użyje wszystkich możliwych ŚRODKÓW POLITYKI ZAGRANICZNEJ, aby ochronić ludność polską przeciwko prześladowaniom i szykanom ze strony szowinistów kowieńskich.

Jednocześnie musimy wypowiedzieć się przeciwko rozlegającym się ostatnio w Wilnie głosom do zastosowania do ludności litewskiej w Wileńszczyźnie metod podobnych do tych, jakie się stosuje do ludności polskiej w Kowieńszczyźnie. Jesteśmy zwolennikami ideologii silnej Polski. System rewanżowania się na skórze obywateli polskich narodowości litewskiej może być poczytany jako wyraz słabości. Jesteśmy przekonani, że Polska jest dostatecznie silna, aby posługiwać się argumentami godnymi Państwa o mocarstwowych aspiracjach.

Wilno, dn. 17 stycznia 1936 r.

KLUB WŁÓCZĘGÓW.

O inwestycje dla Wilna

Z dyskusji nad budżetem Ministerstwa Pracy i Opieki Społecznej i Funduszu Pracy.

Podczas dyskusji nad budżetem Min. Pracy i Opieki Społ. oraz Funduszu Pracy zabrał głos w dyskusji m. i. poseł **Władysław Kamiński**. Streszczenie tego przemówienia umieszczamy niżej. Zawiera ono mocną i przekonującą obronę praw Wilna do ogólnopństwowych inwestycji. Ze zdziwieniem stwierdzamy, że **żadne** z wileńskich pism codziennych streszczenia tego przemówienia nie umieściło. Czyżby wystąpienia w imię słuszych interesów Wilna były tak częste, że można zapomnieć chociażby o jednym z nich?

Do referatu pos. Tomaszewicza mam niektóre zastrzeżenia uwagi: 1) Nie mogę się zgodzić z jego tezą, aby cały nasz dorobek w dziedzinie kapitalizacji szedł na zwiększenie kapitału obrotowego istniejących przedsiębiorstw.

Powstanie wówczas zagadnienie: co robić ze zwiększoną produkcją tych przedsiębiorstw i dla czego upośledzone pod względem inwestycji niektóre połacie Polski mają pozostać i nadal w tym prymitywnym stanie?

Właśnie w Polsce istnieje duża potrzeba nowych inwestycji, ale to muszą być inwestycje, przede wszystkim zmierzające do zmniejszenia przywozu gotowych artykułów przemysłowych

2) Kapitał słuszenie powinien pracować, ale droga do tego prowadzi przez zmniejszenie zarobku kapitału spekulacyjnego, a zwiększenie dochodu kapitału inwestycyjnego. Dopóki papiery wartościowe będą stanowiły mniejsze ryzyko i dawały większe zyski, niż kapitał włożony w inwestycje i przedsiębiorstwa, niema co marzyć o istotnej pracy kapitału.

3) Nie mogę powiedzieć, aby mnie zadowoliło stanowisko referenta w sprawie rozwiązania zagadnienia bezrobocia, że: „mózg narodu musi rozwiązać to zagadnienie”. Nasze bezrobocie nie jest wyłącznie wewnętrznym zagadnieniem. Nie wierzę w jakiś cudowny środek, czy pomysł, któryby mógł od razu sprawę załatwić. Najważniejszym jest wiara robotnika, że jego nędza daje korzyść nie osobie prywatnej, a Państwu, że stwarza podstawy do lepszego jutra człowieka pracy. Dlatego sędzę, żeśmy dojrżeli do tego, aby praca uzyskiwała w przedsiębiorstwie ten sam walor co kapitał. Sędzę, że w radach nadzorczych wielkich przedsiębiorstw nie powinni zasiadać jedynie

utytułowani panowie. Winni się tam znaleźć i robotnicy, którzy znają przedsiębiorstwo i których życie i los jest związany z tem przedsiębiorstwem.

Zastanawiałem się, gdzie mówić o naszej ogólnej polityce inwestycyjnej. Wybaczcie mi panowie, że trochę odbiegnę od tematu, ale przy Funduszu Pracy to chyba będzie najlepiej.

Doszliśmy już do uświadomienia sobie, że mamy Polskę A i B, ale co robimy, aby Polskę B dociągnąć do Polski A. Czy inwestowanie tam, gdzie jest największe bezrobocie, a gdzie inwestycje są już obecnie najdalej posunięte, jest właściwe? Przecież przez to pogłębiany jeszcze dalej rozdział między temi dwoma częściami państwa i dochodzimy nieraz do rażących dysproporcji. W Kielcach wybudowano za olbrzymie pieniądze dom wychowania fizycznego, kilkakrotnie zaduży jak na to małe miasto, a dla nas w Wilnie brak najmniejszych sum na najbardziej niezbędne i prymitywne inwestycje w dziedzinie wychowania fizycznego

W Końskim Ministerstwo Komunikacji znowu dużym kosztem wybudowało duże hale warsztatowe i 10 domów robotniczych. Dziś wszystko to wykończono stoi pustką, **gdy w Głębokiem i in. stacjach o dużym obrocie handlowym mamy ciasne, brudne drewniane budy zamiast dworców.**

Takich przykładów można przytoczyć więcej.

Z zazdrością patrzymy na wielkie wkłady, które czyni sąsiednie Kowno, a my w mieście, które liczy 207 tys. mieszkańców musimy żyć w granicach 8 milionowego budżetu. Inni dostają miliony, a my na rozbudowę Wilna możemy otrzymać zaledwie 200 tys. złotych. Całe lata patrzymy na rusztowanie przy wileńskiej Katedrze, bo jesteśmy biedni i niema pieniędzy. Ale wszystko to choć z przykrością można znieść. Nie znieśliśmy jednak tego wstydu, że po kociach łbach Serec Marszałka przez tłumy Polaków, którzy przybędą, będzie odprowadzone na Roszę, bo i tu niema pieniędzy.

Wszyscy kochają Wilno, ale nikt niema czasu zając się naszymi potrzebami.

Prześciancie nas kochać, ale dajcie pieniądze na to, aby Wilno, miasto wielkich naszych tradycji kultura ducha polskiego na północy wschodzie nie było ostatnim kopcuszkim w odrodzonej Ojczyźnie.

Ost.

Proces komunistyczny studentów i asystentów naszego Uniwersytetu wywołał zrozumiałe poruszenie wśród inteligencji wileńskiej. Wyrok zapadł. Powstrzymujemy się od jego komentowania. Niemniej musimy omówić konsekwencje społeczne procesu.

Zdaniem naszym proces ten nie dotyczy wyłącznie jednego pokolenia — tej młodzieży, które w poszukiwaniu ideałów zabrnęło na drogę komunizmu. Dotyczy on, i to w bardzo silnej mierze, również starszego pokolenia polskiej inteligencji, które wpływa dzisiaj w sposób decydujący na bieg spraw w Państwie. Pokolenie to jest ODPOWIEDZIALNE za komunizowanie młodzieży, a to z następujących względów. Starsze społeczeństwo nie przekazało młodzieży żadnych większych hasel ideowych, wskazujących wyjście z szarej i ciężkiej codzienności w lepszą przyszłość. Społeczeństwo tonie w drobnych, dokuczliwych sprawach dnia codziennego, dając obraz skłócenia i waśni o rzeczy, jakże dalekie od bohater-skich walk roku 1905, 1914 i 1918, lub wielkich przeobrażeń roku 1926.

Społeczeństwo zabrało się do młodzieży od strony najmniej pożądaney — od zdobywania sobie zwolenników drogą świadczeń materialnych względem jednostek uważanych (najczęściej mylnie) za wybitne. W ten sposób pociągnięto jedynie słabsze charaktery, deprawując je, i budząc jednocześnie niechęć wśród elementów niezależnych.

O ile chodzi o młodzież, to mamy w stosunku do niej następujący zarzut: Młodzież polska w poszukiwaniu idei nie zdobyła się dotychczas na wytworzenie ideałów własnych, niezależnych od wpływów zagranicznych. Z jednej strony młodzież ta komunizuje się, działając w ten sposób na rzecz przenikania neo-imperjalizmu rosyjskiego do Polski (nowa Targowica), z drugiej zaś, zapatrzona we wzory niemieckie, idzie na drogę hitleryzmu (O. N. R.). Stojąc na stanowisku, że młodzież winna szukać dróg przyszłych Rzeczypospolitej, mamy przeświadczenie, że stać ją na szukanie dróg własnych, niezależnych od wzorów obcych.

Na peryferjach życia litewskiego

Związek Wyzwolenia Wilna wydał w piętnastą rocznicę zajęcia grodu Gedyminowego przez Polaków spore album, zatytułowane „Laisvoji Lietuva be Vilniaus“ (Wolna Litwa bez Wilna). Wszyscy prenumeratorzy pisma „Musu Vilniaus“ — organu tego Związku, otrzymali wydawnictwo to bezpłatnie. W albumie znajdujemy wiele zdjęć z Litwy (zwłaszcza z pogranicza litewsko-polskiego) oraz liczne portrety działaczy Związku — pojedyncze i grupowe. Wśród tych ostatnich znajduje się fotografia kierowników Sekcji Żydowskiej Związku Wyzwolenia Wilna. I ta właśnie fotografia zastanowiła mnie, gdyż obudziła pewne reminiscencje, zmuszając do ich odświeżenia i uporządkowania.

W Polsce przed wojną dobrze znany był typ tak zwanego Litwaka. Był to właśnie Żyd litewski, Żyd „obrusitiel“, używający w domu z zasady języka rosyjskiego. Do dziś dnia jeszcze Żydzi kowieńscy chętnie posługują się językiem rosyjskim. Mają nawet własny dziennik rosyjski — „Echo“, — dodawany do ryskiego dziennika „Sewodnia“ i własną bibliotekę rosyjską, obchodzącą bardzo skrupulatnie wszystkie święta żydowskie. Nie posiadam pod ręką niestety, statystyki uczniów gimnazjum rosyjskiego w Kownie według narodowości i wyznań, mogą jednak z całą pewnością twierdzić, że Żydzi gimnazjum tego bynajmniej nie unikali. Raczej przeciwnie.

Doniedawna niemal połowa uczniów gimnazjum niemieckiego w Kownie była wyznania mojżeszowego. Posyłali do niego swoje dzieci rodzice, którzy chcieli dla nich „wyrąbać okno na Europę“. A może nie bardzo wierzyli w długowieczność państwa litewskiego? Kto wie! Potrzebna była dopiero cała heca antyżydowska, zaaranżowana w Niemczech i usilna propaganda ze strony bardziej uświadomionych współwyznawców, aby zostało założone „żydowskie gimnazjum z litewskim językiem wykładowym“. Przepelnienia w tem gimnazjum niema.

Będąc kiedyś za jakimś interesem w tej szkole natrafiłem na ciekawą, bo niezmiernie charakterystyczną scenkę — rozmowę Żyda profesora z matką — Żydówką. Chodziło o jakiegoś niesfornego smarkacza, który coś przeskrobał i miał za tę zbrodnię ponieść zasłużoną karę w obliczu władzy rodzicielskiej. Rozmowa toczyła się w języku... rosyjskim.

Nie ulega najmniejszej wątpliwości, że jeszcze do dnia dzisiejszego ogół żydostwa litewskiego odnosi się z nieufnością do litewskiego języka, litewskiej kultury, a nawet litewskiej państwowości. Nie wątpi w swoim czasie się to zmieni, narazie jednak jest faktem, z którym należy się liczyć.

Interesowało mnie, czy Litwa zna typ Żyda — litewskiego patryjoty. Patryjoty nie od dzisiaj, bo o takich nietrudno. Z jednym z rosyjsko-żydowskich dziennikarzy musiałem zaniechać rozmowy spowodu jego ultra już nie patryjotyzmu, ale wręcz szowinistycznych poglądów na sprawy polityczne. Nikogo, kto zna stosunki w Litwie powojennej nie zdziwi, że ten szowinista litewski znał bardzo słabo język litewski, a w domu obok żargonu posługiwał się językiem rosyjskim. Interesowało mnie, czy istnieją Żydzi, którzy brali czynny udział w litewskim ruchu odrodzeniowym, kiedy ta praca nie mogła być interesem, lecz przeciwnie, pociągała za sobą często dość znaczne ryzyko? Czy są tacy Żydzi, którzy przyłożyli rękę do budowania państwa litewskiego? Inaczej mówiąc, czy Litwa zna odpowiednik tego typu Żyda, który u nas jest zjawiskiem dość pospolitem.

Zapewniono mnie, że są i tacy Żydzi. Pewien wybitny literat litewski zaczął mi ich wymieniać... dla przykładu... z nazwiska i utknął na drugim. Zresztą wkrótce okazało się, że i to jest nieporozumienie, ponieważ byli to młodzi ludzie, którzy wyszli już ze szkół litewskich.

W literaturze nie spotkałem ani jednego nazwiska żydowskiego, w plastyce ani jednego (jest cała grupa artystów żydowskich, ale ci nie przyznają się do litewskości). W dziennikarstwie przykładem raczej odstrasającym jest pewien redaktor — wydawca brukowca litewskiego. Poza nim — nikogo. W nauce — nikogo, w teatrze jeden chyba solista i jeden dyrygent operowy.

I to, zdaje się, wszystko. Do tego jedynie ogranicza się udział Żydów w litewskim życiu kulturalnym. Można więc śmiało powiedzieć, że w życiu tem Żydzi żadnej roli nie odgrywają. Popierają wprawdzie operę, lecz nie z pobudek patriotycznych, ale czysto artystycznych. Wiadomo przecież, że są narodem muzykalnym. Widać to chociażby z tego, że frekwencja na dramacie litewskim jest znacznie słabsza: dramat litewski bowiem, jako przejaw kultury litewskiej, Żydów nie a nie obchodzi. Z drugiej zaś strony każde przedstawienie rosyjskie ma zapewniony komplet widzów żydowskich.

Wniosek z tego jasny: Żydzi na ciele narodu litewskiego są dziś organizmem obcym. Podkreślam słowo dziś. Może się to zmienić, ale dzisiaj jest tak. Są organizmem obcym narodowo, językowo, kulturalnie, psychicznie. Zasymitowanego Żyda - Litwina nie widziałem.

A teraz proszę z temi faktami zestawieć fakt istnienia — mniejsza o to, licznej, czy nielicznej — sekcji żydowskiej Związku Wyzwolenia Wilna. Przecież

kwestja tak zwanego „Wyzwolenia Wilna“ jest — tak by się zdawało — kwestją uczuciową, emocjonalną. Przecież plakaty i odezwy, hojnie po całej Litwie porozwieszane apelują do poczucia honoru narodowego, do miłości dla przeszłości narodu litewskiego i przywiązaniu jego do religji katolickiej. Wzywają one do walki o Ostrą Bramę, o Grób Witolda, o Słupy Gedymina. A jakież stosunek emocjonalny do tego wszystkiego mogą mieć ludzie, którzy nawet przejawy dzisiejszej kultury narodu litewskiego traktują, jako coś mniej godnego uwagi, minderwaertig, jakby powiedział Niemiec, którzy żyją nie wśród narodu litewskiego, ale jakgdyby obok niego, na peryferjach jego życia?

Oto dlaczego fotografie panów Icykowicza, Rubinsteina, Goldschmita, Goldberga, Rutenberga i Padisona, umieszczone obok fotografii prezesa centralnego komitetu Związku Wyzwolenia Wilna d-ra Juski, sprawiają dość dziwne wrażenie.

W swoim czasie zapowiadano utworzenie polskiej sekcji Związku Wyzwolenia Wilna. Fotografij jej kierowników w albumie nie znalazłem, z czego wnioskować należy, że Polacy nie kwapili się zbyt z zapisywaniem się w poczet członków tego Związku. Ale gdyby taka fotografia znalazła się w tym albumie, nie sprawiałaby o wiele bardziej dziwnego wrażenia, niż fotografia grupy działaczy żydowskich.

gel.

Na odcinku rolniczym

Znajdując się w początkowym okresie roku nowego, w którym zapewne każdy z nas pokłada nadzieje lepszego jutra, a wielu czyni wprost skrajne przewidywania, stawiając prognozę albo zbyt ciemną, albo jaskrawo różową — chcemy dać wyraz niektórym momentom życia gospodarczego, jakie zaistniały w roku minionym, tworząc odpowiedni podkład pod rozwój stosunków na najbliższą czy dalszą przyszłość.

O ile w przemyśle roku miniony, w dalszym ciągu zaznaczył się lekkim ożywieniem konjunktury, ożywieniem zresztą bardzo niewspółmiernem do przebiegu konjunktury w Anglii, Niemczech i innych państwach zachodnio-europejskich, o tyle w rolnictwie do połowy roku notować można było stałe pogarszanie się sytuacji. Przejawem tego zjawiska był systematyczny spadek cen artykułów produkcji zwierzęcej, już nie mówiąc o tem, że i ceny artykułów produkcji roślinnej utrzymywały się na niskim poziomie niemalże od zbiorów z 1934 r. Spadek cen, szczególnie w zakresie tłuszczów zwierzęcych, pogłębiał się wskutek gromadzących się zapasów na rynku wewnętrznym, przy jednoczesnym braku ujścia na rynek zagraniczny, tak, że na początku drugiego półrocza osiągnął swój punkt kulminacyjny, nienotowany od początku kryzysu w rolnictwie. Od tego momentu, dzięki usunięciu nadwyżek z rynku wewnętrznego, przedewszystkiem w drodze eksportu do Anglii oraz spowodu pewnej konjunktury na rynku zagranicznym — wywołanej wojną włosko-abisyńską, ceny artykułów produkcji zwierzęcej podniosły się i utrzymują się prawie że na

jednakowym poziomie od paru miesięcy. Niewątpliwie, że i zawarty w listopadzie r. ub. traktat handlowy z Niemcami, umożliwiający wyeksportowanie aczkolwiek niewielkiej ilości sztuk trzody chlewnej, oraz inne możliwości eksportowe, również przyczyniają się do uzyskania obecnego poziomu cen trzody, której produkcja na terenie ziem wschodnich w roku ostatnim wzrosła znacznie.

Pożyczka inwestycyjna, która przyszła w rok po pożyczce narodowej, znacznie wyczerpując możliwości kapitałowe naszego rynku wewnętrznego, w dużej mierze poszła na cele konsumcyjne, wbrew jej właściwemu przeznaczeniu, jakie starano się wpoić w opinie subskrybentów, w okresie subskrypcji. Niepozabawione było dobrej nadziei i rolnictwo, które w pożyczce inwestycyjnej chciało widzieć źródło kapitałowe, zasilające akcję inwestycyjną na odcinku robót publicznych na terenie wsi oraz na odcinku inwestycji, jak rzeźnie, chłodnie i t. p., mających znaczenie dla usprawnienia obrotu artykułami rolniczymi. Sądono również, że o ile pożyczka inwestycyjna, w drodze finansowania produkcji przyczyni się do zatrudnienia ciężących nadmiernie na rynku pracy rąk roboczych, wywrze także pośredni wpływ na zwiększenie pojemności wewnętrznego rynku w zakresie środków aprowizacyjnych, podobnie, jak to odbywało się w Niemczech przy rozbudowie przemysłu wojennego. Jak wiemy, mniej, czy więcej pokładane nadzieje w odniesieniu do pożyczki inwestycyjnej w Polsce zawiodły.

W polityce rolnej w roku ubiegłym nastąpiły pewne zmiany, polegające na tem, że punkt ciężkości zo-

stał przesunięty na rzecz produkcji zwierzęcej, w drodze odpowiedniego potraktowania tego eksportu (masło, smalec, a następnie trzoda chlewna), który w latach poprzednich znajdował się na planie dalszym. Polityka eksportowa w odniesieniu do artykułów roślinnych została uporządkowana w ten sposób, że oprócz zachowania tej samej wysokości zwrotu cel przy eksporcie zbóż, ten instrument eksportowy zastosowano również do gryki, grochu, wyrobów ziemniaczanych i innych, stawiając te artykuły wobec rynku zagranicznego w warunkach korzystniejszych. Celem związania nadmiernej podaży zboża na rynek wewnętrzny w okresie późniejszym podobnie jak w latach poprzednich, uruchomiono kredyty zastawowe i zaliczkowe pod zastaw zboża z tem, że w r. ub. uruchomiono je na sumę znacznie większą i na warunkach niższego oprocentowania. Jednocześnie zaniechano polityki interwencyjnej, przez zlikwidowanie akcji Państw. Zakładów Przemysłowo-Zbożowych, których spekulacyjna działalność w roku 1934 i na początku 1935 przyczyniła się do dezorganizacji rynku zbożowego, polegającej na kilkakrotnym załamaniu się cen zbóż na wiosnę, zwłaszcza w okresie spłaty rat pożyczki z kredytu zastawowego i zaliczkowego, kiedy gospodarstwa rolne musiały realizować zmagazynowane zapasy zbóż. W związku z usprawnieniem obrotu artykułami rolniczymi, w drodze urządzenia magazynów zbożowych, rzeźni, chłodni oraz mechanizacji mleczarni, uruchomiono na ten cel odpowiednie kredyty, na dogodnych warunkach spłaty.

Przestawienie punktu ciężkości w polityce rolnej na produkcję zwierzęcą, znalazło także wyraz w zawartym w dniu 4 listopada 1935 r. traktacie handlowym z Niemcami. Udział rolnictwa w kontyngencie wywozowym z Polski traktat przewiduje w 78% ogólnego wywozu do Niemiec, w tem znaczna część przypada na produkcję zwierzęcą (np. trzoda chlewna). Oprócz specjalnego znaczenia traktatu dla naszego rolnictwa, ma on znaczenie zasadnicze, dając podkład w rozwoju polsko-niemieckich stosunków handlowych wogóle.

I gdyby nie to, że za podstawę wymiany pomiędzy kontrahentami, przyjęty został system clearingu towarowego, podyktowany zresztą trudnościami dewizowymi Rzeszy, rola jego w naszym handlu zagranicznym byłaby oceniona jeszcze wyżej.

W chronologicznym porządku wydarzeń na polu gospodarczym zaszerzować należy najważniejsze z nich, jakie zaszły w ciągu roku. To zmiana rządu i w związku z tem zapoczątkowana zmiana programu gospodarczego, prowadzona na odcinku niżki cen artykułów przemysł., kosztów przewozu kolejowego, na odcinku obciążeń publicznych i wielu innych. O skutkach tej akcji, która jeszcze jest prowadzona, oczywiście, że mówić można będzie dopiero po całkowitem jej ukończeniu i wprowadzeniu w życie zarządzeń, mających wpływ na kształtowanie się sytuacji gospodarczej.

W poszukiwaniu programu rolniczego, na specjalną uwagę zasługuje stanowisko naczelnej reprezentacji zrzeszonego rolnictwa — Związku Iz i Organizacji Rolniczych, zmierzające do zwiększenia udziału rolnictwa w dochodzie społecznym, przedewszystkiem w drodze odciażeń na odcinku finansowo-rolnym, taryf kolejowych i t. p. W rozwinięciu też do programu rolniczego upatrywać należy zerwanie z polityką nakręcania konjunktury, jak to miało miejsce dotychczas, a wzamian za to stworzenie możliwości kumulacji nawet drobnych kapitałów prywatnych w rolnictwie, które inwestując je w obrębie własnych warsztatów, przyczyni się do ożywienia w innych gałęziach gospodarczych.

Przebieg sytuacji w rolnictwie ziem wschodnich, w zakresie cen artykułów rolnych, kształtował się poniżej przeciętnego poziomu dla Polski, spowodu gorszych warunków komunikacyjnych, braku urządzeń technicznych mających znaczenie dla obrotu (prz. rzeźnie, chłodnie, magazyny zbożowo-łniarskie) i t. d. Zmianie na lepsze uległ ilościowy stan produkcji rolnej. Szczególnie zaznaczył się wyraźny wzrost produkcji trzody chlewnej, bydła rogatego oraz lnu. Lekka poprawa cen trzody chlewnej, masła, sera i lnu, jaka dokonana się w drugim półroczu roku ubiegłego, znalazła swój wyraz w zarysowującej się poprawie siły nabywczej ludności wiejskiej. Rozwój tego zjawiska w dalszym ciągu jest jednak uzależniony od przebiegu poziomu cen.

Wzrost pogłowia trzody chlewnej, dającej towar odpowiadający wymaganiom zagranicznych rynków zbytu, sprawił to, że szereg firm eksporterskich krajowych zaczął poraz pierwszy na szerszą skalę organizować zakup surowca na terenie woj. wschodnich. Dotychczas bowiem przemysł mięsny i działalność firm eksporterskich, koncentrowały się na ziemiach zachodnich i centralnych. Oprócz firm krajowych, produkcją zwierzęcą ziem wschodnich zainteresowały się także i firmy zagraniczne (szwedzkie), poszukujące tu trzody chlewnej i owiec dla rynków skandynawskich.

Zarówno firmy krajowe jak i przedewszystkiem zagraniczne, spowodu braku rzeźni eksportowych i chłodni, nie są w stanie znajdujących się na ziemiach wschodnich nadwyżek towaru, przerzucić na dalsze rynki zbytu. W związku z tem powstaje potrzeba możliwie rychłego zaopatrzenia w te niezbędne urządzenia większych ośrodków handlowych woj. wschodnich, a w pierwszym rzędzie największego z nich — Wilna.

Tych kilka momentów naszkicowanych w związku z charakterystyką sytuacji gospodarczej w rolnictwie w r. ub., aczkolwiek nie daje całości obrazu stosunków, jakie wpływają na kształtowanie się dochodu społecznego w rolnictwie, to jednak wskazuje na pewne zmiany, lub ich zaczątek w układzie stosunków gospodarczych w roku bieżącym.

Stanisław Symonowicz.

Uwaga! Znany włóczęga egzotyczny Kilometr (Wacław Korabiewicz) wygłosi w Wilnie w najbliższych dniach szereg odczytów. Szczegóły w afiszach.

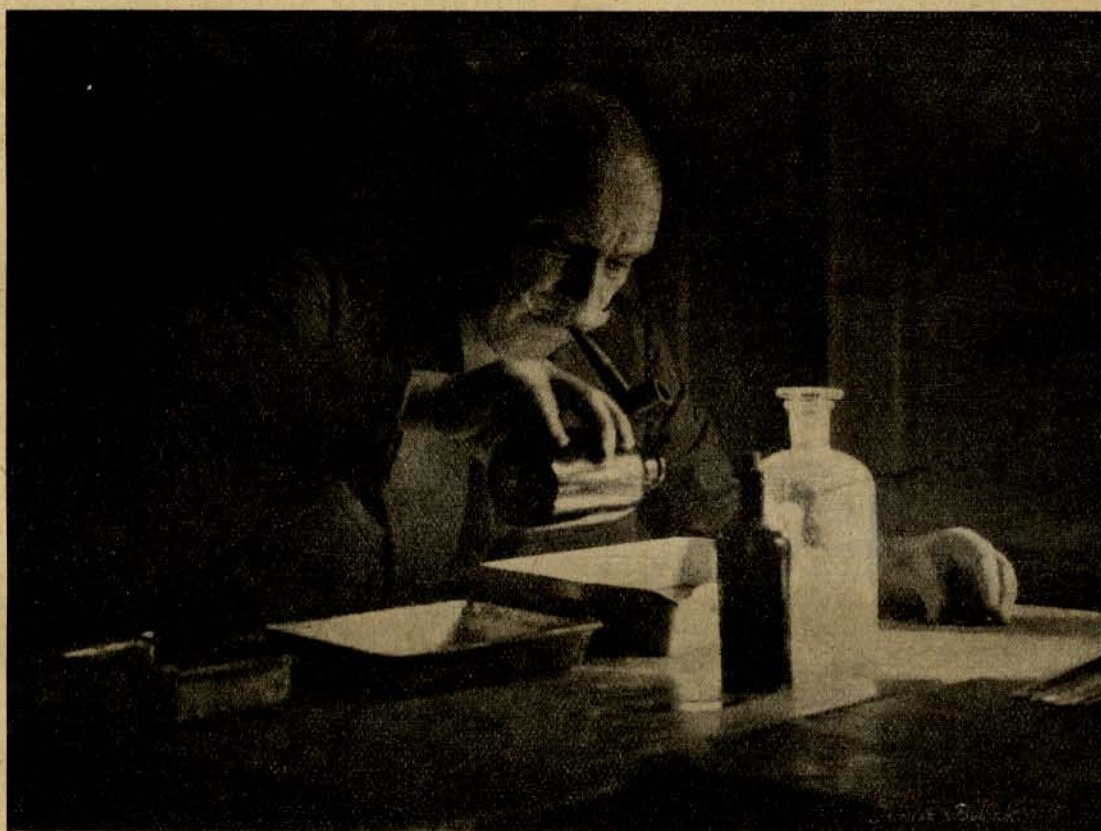
Jan Bułhak

Trzydziestopięciolecie pracy artystycznej

Nikt się nie przejął ubogim urokiem naszej ziemi, nikt nie umiał odnaleźć ukrytego piękna. Smuglewiczowi, wspiętemu na wyniosłe koturny dawidowego klasycyzmu, rzadka tylko nadarzała się sposobność odtworzenia konterfektu jakiejś damy z wileńskiej arystokracji, a poczciwy Rustem, ze swą fajką i czerwonym fezem, zagrzebany w mrocznych zakamarkach swej pracowni w akademji, rzadko miał czas wyjrzeć na szeroki świat i dostrzec, uchwycić piękno tak nagle i błędnie.

Wychowankowie zaś dawnego Uniwersytetu z pracowni malarstwa i grafiki rozproszyli się po ca-

Ta sama żarliwa miłość zrodziła innego artystę. Jan Bułhak, syn naszej ziemi, zrośnięty z nią mocno z dziada pradziada, w poszukiwaniu środków artystycznego wypowiedzenia się, natrafia na aparat fotograficzny i — znajduje swoje powołanie. Jak drewniane deszczki skrzypiec nabierają życia, gdy weźmie je do ręki prawdziwy artysta, tak aparat fotograficzny z r. 1901, niezgrabny i bezduszny, staje się w dłoniach narzędziem przedziwnie subtelnym. W owym czasie, kiedy „pstrykanie” foto-amatorów nie było plagą nagminną jak obecnie, ale równie dokuczliwą, potrafił Bułhak w bardzo prędkim czasie zrozumieć wartości



PORTRET JANA BULHAKA.

Fot. Janusz Bułhak.

łym kraju, który sięgał wówczas po Ural — ba, dalej nawet, aż po Sachalin i Kameczatkę — nie zagrzebli tu długo miejsca, a i talent nie zawsze dopisywał. Leżała więc odłogiem ta ziemia rodzona, nikt na dziw obrazków jej nie rozwoził...

Aż wyszedł wreszcie przed świtaniem na rolę dobrego rolnika — Ruszczyca. Swym rozmachem odtworzył na swych płótnach ziemię, omdlewającą pod ciężarem skłębionych, potężnych obłoków, drzewa powyginane na wichrze drgającymi konarami, gałęzie jabłoni obarczone plonem. Wszystko mocne i zwarte, pełne dzikiej jakiejś, prymitywnej siły, opromienione urokiem prastarej, zamierzonych czasów sięgającej legendy. Ziemia ta, i niebo, i obłoki stawały się czemś nierealnym, pełnym jednocześnie nadprzyrodzonej potęgi — wizją ekstatycznej sztuki, a przedewszystkiem — wyrazem głębokiego ukochania.

istotne aparatu fotograficznego, wczuć się w jego możliwości, zrozumieć jego zalety i wady, by wreszcie uczynić narzędziem zupełnie podatnym, podporządkowanym zadaniom swego posłannictwa — stanąć się narzędziem nowej sztuki.

„Odkrycie” aparatu fotograficznego umożliwiło Bułhakowi utrwalenie piękna, które dokoła siebie dostrzegał. Powstają setki i tysiące fotografii, o przejrzyściej, a jednocześnie zwartej i mocnej kompozycji. Niestrudzenie poszukuje wszędzie piękna, stara się sprecyzować nieuchwytny urok, który go zniewala. I snują się długie lata żmudnej, acz pełnej zapału pracy, uwieńczone wreszcie wspaniałym wynikiem. Bo oto fotografia w rękę Bułhaka, przestając być rozrywką lub narzędziem nauki i obiektywności, staje się nową sztuką. Okazuje się, że fotograficzną analizę i wierność, a raczej bezduszność, artysta może przekształcić w artystyczną syntezę, że obraz foto-



MOTYW ZE LWOWA.

Fot. Jan Bułhak.



KOŚCIOŁY WILEŃSKIE.

Fot. Jan Bułhak.



URODZAJ.

Fot. Jan Bułhak.



MOTYW Z NAD WILEJKI.

Fot. Jan Bułhak

graficzny można skomponować i zrównoważyć w kontrastach, wydobyć w nim główne motywy z pominięciem drugorzędnych, zharmonizować w natężeniu, a nawet w barwie.

Dla tej nowej sztuki Bułhak ukuwa nowy, własny termin: „fotografika”. I, ponieważ każde umiłowanie wytwarza potrzebę apostołowania, gromadzi dokoła siebie innych zapaleńców, wspiera ich szczerą pomocą i chętną radą, kroczy z nimi, przysparzając sztuce nowe dzieła.

Fotoklub Wileński jest tak ściśle związany z osobą Bułhaka, tyle pracy i zapału wniósł Bułhak do Klubu, że naprawdę, może być nazwany całkowicie jego dziełem. Owocem tego apostołstwa są również niezliczone artykuły z dziedziny fotografii, porozrzucane w dziesiątkach czasopism polskich i obcych, zachęcające fotografików do ustawicznego doskonalenia swej sztuki, a w których Mistrz, bynajmniej nie zazdrosny o swoje „tajemnice zawodowe”, chętnie odsłania je wszystkim — byleby sztuka fotograficzna doskonalila się, wznosiła nowe zdobycze. I tu, w swych dziełach pióra, ukazuje się nam nowy Bułhak artysta-pisarz. Cechą wspólną jednego i drugiego jest to samo: gorące umiłowanie. Ale czując, że aparat fotograficzny niezdolny jest do wyrażenia barw, a przedewszystkiem — wiecznej zmienności i ruchu przyrody — chwycił pióro, by nie z piękna, które go otacza nie uronić, by utrwalić je jaknaipięniej, najbardziej wszechstronnie.

Kto nie zna stylu Bułhaka, spodziewa się może, że pisze on piekielnie nudne podręczniki techniczne

lub jakieś vademecum dla fotografów zawodowych. Tymczasem już pierwsze karty każdej książki znie-
wala ją osobliwym urokiem, który nawet trudno zdefiniować. Swobodna, pełna humoru, o zakroju starszylacheckim a jednak wyrafinowana, gawęda z żywym człowiekiem. Czcionki i papier znikają, otwierając okno na nasz kraj. Idzie się z radością za przewodnikiem, patrząc na wszystko jego oczami.

Książki Bułhaka ujmują nie tylko swą treścią zawsze barwną i zajmującą — odznaczają się one niezwykle jędrnym, obrazowym stylem. Proza Bułhaka jest wykwiłtna, wykazuje niepospolite opanowanie języka pisarskiego, obok niezwykle zasobnego słownictwa i nieprzebranego bogactwa porównań, plastycznych i barwnych. Biorąc do rąk pierwszą lepszą książkę Bułhaka, pełnemi garściami czerpać możemy prawdziwe klejnoty prozy, w którymkolwiek miejscu ją otworzymy, dobierając przykłady. Trudno zdecydować, który urywek jest piękniejszy.

Nie trzeba jednak sądzić, że książki te nastrojone są jedynie na liryczny ton. Te podniosłe, patetyczne niemal, a zawsze wyraziste i mocne ustępy przeplatają się z miejscami, pełnemi szczerego, niefrasobliwego humoru lub ciętego dowcipu.

Żarliwy miłośnik piękna ziemi naszej, służący mu słowem i czynem, obchodzi dziś trzydziestą piątą rocznicę tej owocnej i chlubnej pracy. Niech więc przynajmniej tych słów kilka posłuży za nikły dowód, że praca Jego znajduje zrozumienie i odźwięk.

Gracjan Achremowicz.

W zoddjaku teatralnym

W **Teatrze na Pohulance** w II połowie grudnia zetknęły się ze sobą trzy biegunowo różne światy.

Stary, poczciwy Bałucki, który przejąwszy się hasłami swej epoki bił w szlachtę jak w bęben, mimo wszystko zawsze był szlachcicem i jego humor posiada wybitnie sarmacki nałot: szerokość gestu, gadatliwość, anegdotyczność, pociąg do oryginałów. To oczywiście świat grubo przedwojenny, trącający wybitnie myszką.

Szkoda że Bałucki jest pisarzem tego pokroju, że albo mu poświęcić cały godziwy feljeton, albo go przemilczeć.

Od doskonałej, staroświeckiej komedji przejść do **Kresu wędrowki** Sheriffa łatwo jest tylko na papierze. Sheriff porusza zagadnienie chyba jedno z najstarszych, jakie wogóle zagnieżdżyły się w wierszu i prozie. Dość powiedzieć, że przedmiotem **Kresu wędrowki** jest wojna i miłość.

Sheriff w swej sztuce jest przedewszystkiem fizjologiem wojny. Przedstawia jej druzgoczącą machinę, jej okrutną przewlekłość, a jednocześnie pokazuje rozkład nerwowo-fizjologiczny człowieka. Są mniej i więcej oporni. Wszystkich jednak obezwładniła drapieżna zmosfera zająca w każdej sekundzie na swe ofiary.

Na tem tle słabo zarysowuje się cel owej gehenny: obowiązek patriotyczny. Apostrofa do niego zalu-
tuje pustą retoryką. Zwycięza naturalistyczny pesymizm, beznadziejność zagłady, zupełny kres wszystkiego.

Artystycznie sztuka Sheriffa nie olśniewa. Ma nużące dłużyzny. Dialogi wloką się żółwim chodem. Postaci — są rozgadane i zamazane. Tylko parę miejsc zawiera mocniejszy ładunek dramatyczny.

Dekoracje pana Makojnika dość udatne. Zgodnie z charakterem sztuki realistyczne i utrzymane w posępnym tonie. Stanowiły one dobrą oprawę dla akcji.

Nasi aktorzy grali z mniej lub więcej pomyślnym skutkiem. Jedno wypada podkreślić: reżyserja dyrektora

Szpakiewicza szczęśliwie zapobiegła t. zw. grze skaczącej, kiedy to jeden lub dwóch aktorów grają wyśmienicie, a inni wyśmienicie im psują. Tym razem wykonanie było o gładkiej powierzchni.

Pan Zastrzeżyński wywiązał się z roli kapitana Stanhope'a w sposób nacechowany wybitnym tupetem, sięgał po kolory najmocniejsze. Był plastyczny. Osborne w wykonaniu pana Łodzińskiego należy do najciekawszych wrażeń wieczoru. Pan Łodziński stworzył doskonałą, miękką sylwetkę starszego pana o łagodnej i smutnej filozofji życiowej, o cichem i głębokim współczuciu dla wszystkich. Pan Puchniewski jako Trotter uosiadał znaczną wyrazistość. Element humoru znalazł swoje wcielenie w przygodnym kucharzu, szeregowcu Masonie, odtworzonym giętko przez pana Surowę. Młody Raleigh (pan Borowski) zanadto się gorączkował i było widać sztukaterję aktorską na jego wyczynach frontowych i zachowaniu się wobec Stanhope'a. Roztrzęsiona też była gra pana Śródki w roli Hibberta.

Ogólnie biorąc: sztuka w treści nieco już anachroniczna, wykonanie niezłe.

* * *

Szczęśliwe małżeństwo jest następującą historją: Mąż, inżynier Uzurow, z rzędu uroczyстых miernot, żona Marja Ignatjewna kobieta wysoce uzdolniona. Jej projekt architektoniczny, zlekceważony przez męża, a ukradkiem przesłany na konkurs przez przyjaciela Wartana Dżaparidze, zdobywa pierwszą nagrodę. Wtedy Uzurow chce się podszycić pod nazwisko żony. Dochodzi do rozłamu w „szczęśliwym małżeństwie”, a dzięki temu i do triumfu „wolnej kobiety sowieckiej”.

Ponieważ w Bolszewji nie opowiada się historyjek, ot, tak sobie przy kominku bez żadnej kozery, więc i do tej małżeńskiej historii przesaczył się, skroplony pod wysokiem ciśnieniem życia partyjnego, — dydaktyzm. Tytuł dramatu: **Szczęśliwe małżeństwo** jest niewątpliwie nastroszony kolcami ironji. Wynika to przecież z przebiegu zdarzeń.

W sztuce tej jest pewien czynnik — pociągający. Chodzi o to, że akt ostatni przechyla szalę bądź co bądź na stronę idei. Marja Ignatjewna zrywa z nicponiem mężem, pięknym okazem brutalnej zaboboczości, chce iść za chorym Wartanem, a wreszcie zostaje sama, by oddać swe siły i swój talent na usługi zbiorowości. Otóż to! Owa zbiorowość nie budzi zaufania. Dla niej, wyprowadzając umiera Wartan, dla niej poświęca się Marja. Ale coż to jest u licha? Niewiadomo. Triger zarzucił na to zasłonę! Może więc to zbiór takich osobników, o których zawołał Nietzsche: „a, bodajże ich porwał diabeł i statystyka“?

Ogromna przestrzeń, na którą mają wyjść obie bohaterki po odegraniu dramatu jest dla nas zupełną tajemnicą.

Brak mi miejsca na szczegółowe omówienie gry aktorskiej. Zaznaczam więc ogólnie, że przedstawienie opracowano starannie. Pan Szymański i dyrektor Szpakiewicz — zwycięsko wyszli z przesilenia między dramatyzmem a humorem. W rozmowach Wartana i Jegorowny brzmiała nuta swoistej rosyjskiej humorystycznej przekory. Pani Wierzchowska jako Marja Ignatjewna dała postać kobiecą wymowną w swych radościach, bólach i porwach. Pani Polakówna w roli Galii mieniła się od zażwierzyłości i hajdamactwa.

* * *

Sytuację, jaka w ciągu świąt Bożego Narodzenia wytworzyła się w **Teatrze na Pohulance** można określić jako: sytuację międzynarodową. Jeżeli ktoś wątpi, robię zwięzły przegląd występów i koncertów, dotąd niepokojących ciekawość wilnian. A więc: arcy polska opera **Straszny dwór**, Józef Schmidt, śpiewaczka murzyńska Jarboro, pan Ginzburg z Sowietów, obecnie pani Marja Maksakoff. Gdzieśmy to zawędrowali od kurantowej arji Stefana w **Strasnym dworze!**

Nasz Teatr dał w tym czasie li tylko **Jablusko** Verneilla, które przetoczyło się po scenie i upadło.

Pozostaje mi zatem jedno: zając się repertuarem karnawałowym. Teraz w astronomji teatralnej, w jej zodyjaku ukazał się znak komedji.

* * *

Nasz Teatr musiał zastosować „różne kunszty“ w granem od kilku dni Moljerowskim widowisku. Jest tam wszystko: **dużo muzyki, dużo śpiewu, tańca, malarstwa, dekoracyjnego, nastrojów świetlnych i barwnej zawiadłości kostjumowej.** Na szczęście teatr uniknął niezgody kunsztów. Tutejszy **Mieszczanin szlachcicem** okazał się dzielnym wesółkiem karnawałowym, który potrafi chwacko użyć własnego dowcipu. A wskutek tego podbija widza i rozbraja go nawet dla swych... słabostek.

Komedja o panu Jourdainie rozwinęła się z ceremonji tureckiej. Była haftem na tle baletu. Napisana z rozkazu Ludwika XIV ma na sobie wyraźne piętno niefrasobliwej przygodności. Do obowiązków Moljera należało zabawianie Dworu. No, a z obowiązku rzadko kiedy rodzą się rzeczy doskonałe. To też w Mieszczaninie szlachcicem tu i ówdzie ścieg się rozłazi. Przedewszystkiem nie jest zbyt mocno przyszyta owa **Ceremonja turecka.** W każdym razie pyszny to żart karnawałowy: pelen ruchu, światła i egzotyki, opylony „jak złotym pudrem muzyką Luliego, Roześmiana, kolorowa groteska. Nasz teatr bynajmniej nie zatarł tych barw, jednocześnie mocnych i lekkich. Utrwalił je. **Ceremonja turecka** była jedną z najudatniejszych części przedstawienia. Chropawy gdzieniegdzie rytm baletu nie psuł ogólnej harmonji. Groteska zarysowała się wypukle. Sylwety uczestników **Ceremonji** posiadały urok sowizdrzalskiego nieprawdopodobieństwa. A chyba ten czynnik był tu niewątpliwie (że sięgnę po jedno z arcydzieł naszej urzędowej polszczyzny) — „czynnikami miarodajnym“. Jeszcze muzyka, wtopiona w tekst, — czyniła wrażenie rytmicznego płomienia, który rozpałał się i przygasał zgodnie z nasileniami akcji.

Moljer, bawiąc się wesóło i rozmieszając innych do Jez, nie zapomniał o dydaktyzmie. Nie wyobrażajmy go jednak sobie w tożde uroczystego pedanta. Nigdy, moralów nie prawil i wogóle nie znosi patosu.

Nie zrzeka się on tytułu moralisty, z tem wszakże zastrzeżeniem, aby go on nie obciążał przykrą, istotnie, powinnością napuszonego krasomówstwa. Sład poszło, że komizm Moljerowski ma głęboką perspektywę społeczną. Wyrasta niejednokrotnie, ze stosunków, które już dawno minęły, a dzięki temu uzyskuje odrębny styl, pokrywa się według utartego wyrażenia patyną historii. Uroszczenia szlacheckie pana Jour-

dain'a, zwady różnych mistrzów, lekkomyślne korsarstwo Dorantów i Dorymen, markizy i hrabiowie, Corielle i Michasi — to wszystko światek już bardzo stylowy, przefiltrowany w naszej świadomości historycznej, a więc i od teatru wymagający troskliwej stylizacji.

U nas w teatrze, owszem, coś niecoś zrobione w tym kierunku. Aktorzy (Dorant — pan Scibor i Dorymena — pani Zielińska) byli trafnie dobrani. Lecz jakoś zamrożono komizm Moljera. Scena uczy wypadła matowo, była zgaszona. W czytaniu robi większe wrażenie.

Nieodczynnym składnikiem dawnej komedji francuskiej jest służba. W danym wypadku naszemu teatrowi dobrze się powiodło z ustylizowaniem Moljerowskiego komizmu. Michasia w odtworzeniu pani Wierzchowskiej nie straciła ani tupecku, ani swej iście zdumiewającej logiki. Rola Michasi była wykonana z rozmachem. Pan Szezieniewski, jako Corielle — utykał w wymowie. Lokaj paryski z akcentem rosyjskim — to nieoczekiwany okaz fonetyzmu. Bardziej już ta cecha odpowiadała Turkowi. Poza tem jednak gra pana Szezieniewskiego zawierała sporo energii, sporo siły komicznej.

Moljer ogromnie lubil przetrzepywać skórę zarozumiałcom i szkolarzom. Zwłaszcza nie szczędził lekarzy oraz wszelkich nadętych mędrków, umiejających całą naukę sprowadzić do głupstewek i błazeństw scholastycznych. Nauczyciel filozofji, wykładając panu Jourdainowi różne sposoby wymawiania liter należy właśnie do rzędu tych pociesznych figur. Sowiec okłaskiwano pana Wollejkę, gdy zjawil się w powłoczystej tożde, potężnym kapeluszu i z księgą o niesłychanym obwodzie. Jeżeli kto, to właśnie pan Wollejkę wydobyl ze swej roli cały komizm. Jego sylwetę cechowała wyborna plastyka. W słowach i gestach czulo się dotarcie do sedna rzeczy. Natomiast piskliwy, słusznie wykoszlawiany głos pana Surawy (aktor ten występował w roli Nauczyciela tańca) raził i naprawdę nużył. Dowcip rozcieńczał się w nim aż do przeczysteji nijakości. Zwada mistrzów ułada się. Ciosy księgą, podkreślane bumkaniem orkiestry — to humorystyka w dobrym stylu. Epizod bardzo ciekawy.

Kazania pani Jourdain są rozsądne, lecz ona sama potrosze nudna. Uczucia Lucylli — bardzo szlachetne, lecz osoblika mdła i cukierkowata. Lepiej szło Moljerowi, choć to patrzy na złośliwość, z bezdusznymi kokiетkami, plotkarami, uczonemi w spódnicach i temu podobnym pogłowiem niewieścim. To też wysilki pani Jasińskiej (rola Jourdainowej) i pani Górskiej (rola Lucylli) spaliły na pawe. Ich tyłady brzmiały martwo, ożywienie było papierowe. Uczynię wyjątek dla sceny niesnasek miłosnych. Tu kwartet, złożony z pań Wierzchowskiej i Górskiej tudzież z panów Szezieniewskiego i Borowskiego spisywał się dość raźnie, chociaż nie w tym stopniu, żeby powiedzieć: dalej już zająć nie można. Ten ustęp w **Mieszczaninie szlachcicem** oparty na wzajemnie przekładających się kontrastach szorstkości i przeczulenia, realizmu i poetyzowania, ogłady i prostactwa — tworzy świetną okazję dla popisów aktorskich. U nas zagrano go tylko poprawnie.

Nakoniec główny tuz komedji: pan Jourdain. Pan Jourdain w trojakiej postaci: jako zbzikowany mieszczuch, który uwziął się zostać szlachcicem, jako brutalny małżonek i ojciec, nie liczący się z nikim prócz siebie i osób aytułowanych i wreszcie jako miłośnik wiedzy, otoczony gromadą łapięroszów. Moljer stawiając pod pręgiem ludzką słabostkę do herbów i rodowodów umiejajtnie wybrał sobie na ofiarę postać jaskrawą, rubaszną, zgrubsza ciosaną. Ułatwilo to drwinę i dało sposobność do wprowadzenia scen, od których można dość gładko prześlizgnąć się do maskarady. Ale pan Jourdain jest mimo wszystko postacią szczerze ludzką, nie zaś pajacem, ze sznurkami umieszczonemi po tamtej stronie dla dogodnego wprawiania go w karykaturalne odruchy. Błaznem i pajacem robi się dopiero w **Ceremonji tureckiej.**

W panu Jourdain przed **Ceremonją turecką** tkwi nawet pewien zadatek na istotę, czującą, że los ją pokrzywdził. „Ten pan Jourdain“, pisze Boy, „obok kultu dla urodzenia, dystynkcji, ma kult dla wiedzy. Kult ten jest głupi, powierzchowny, niedorzeczny, ot taki, na jaki go stać; ale bardzo szczerzy i żywy“.

Tymczasem pan Czengery wystrugał z tej roli właśnie pajaca. Da się to niemal palcem pokazać: więc w pierwszym zaraz akcie — siadanie na foteli, rozmowa z nauczycielami, gesty towarzyszące tej rozmowie, sposób prowadzenia dialogu, dyskusja — wszystko wycelowane w pajacowatą groteskę. Postać Jourdain'a obciąża, uproszczona — z oczywistą stratą dla widza i z uchybieniem Moljerowi.

Zygmunt Falkowski.

O „Lutni“ słów parę

Jest w Wilnie miejsce osobliwe, do którego prowadzi się przybysza, spragnionego czegoś egzotycznego, niezwykłego, czego nie spotyka w każdym mieście. Miejscem tem jest „Lutnia“, a w miejscu tem prawdziwa uczta czeka oczy i uszy człowieka — mającego przynajmniej łut szczęścia.

Powiadam: mającego łut szczęścia, bo żeby był najbardziej chytry, nie zgadnie, kiedy pan Wawrzkowicz będzie śpiewał naprawdę, a kiedy śpiew markował, otwierając tylko wdzięcznie, jak ryba, usta. Wprawdzie „dobry karp tyufa wart“, ale poza powściągliwością głosową innych niezaprzeczonych zalet karpia pan Wawrzkowicz zdaje się nie posiada. Coprawda wtajemniczeni twierdzą, że nie trzeba wielkiej chytry, ani nawet szczęścia, żeby przewidzieć, jaki wysiłek tego wieczoru zrobią artyści: wystarczy dowiedzieć się w kasie przed początkiem przedstawienia, jak wiele sprzedała biletów, a efekt głosowy będzie do tej ilości biletów w stosunku prostym.

Jak się czuje artysta przed prózną widownią, to zdaje się nawet dla laika jest zrozumiałe, ale dlaczego ma tracić widz, który zapłacił uczciwie i chciałby posłuchać, również uczciwie zaśpiewanej arji? Podejrzewam, że moment psychologiczny, aczkolwiek zasadniczy, nie jest tu jedynym: organizacja zespołu aktorskiego „Lutni“, oparta na procentowym udziale artystów w zyskach, też nie jest bez winy.

Nie wszyscy bowiem zapewne wiedzą, że „Lutnia“ jest teatrem niesubsydjowanym ani przez państwo, ani przez samorząd. Utrzymuje się z tego, co zarobi, przyczem zarobek ten dzielony jest w ustalonym stosunku między wszystkich członków zespołu, od dyrektorów poczynając na statystach kończąc. Czasem zrobek ten jest dosłownie groszowy, a efekt — jak wyżej.

Stary, doświadczony wyga, dyrektor Śmiałowski, ratuje sytuację, jak może, sprzedając przedstawienia po cenach bardzo popularnych różnym instytucjom i organizacjom zawodowym i społecznym: kolejarzom, pocztowcom, wojsku, a nawet A. Z. S.-owi. Robią swoje dwaj pozostali dyrektorzy: Wyrwicz-Wichrowski i Tatrzański, ale już na scenie. Zgodzimy się, że wespół z wiecznie młodym p. Szczawińskim, są to asy, jakich ze świecą poszukać. Gdyby chodziło o porównanie z dziedziną astronomii, to nawet nie do migotliwych gwiazd bym ich porównał: to planety, świecące Wilnu równo i niezmiennie. Gwiazdom zaś, wylapywanym wytrawną ręką p. Śmiałowskiego, w rodzaju p. Bestani, należałoby życzyć, aby najczęściej na firmamencie wileńskim się ukazywały i dawały widzieć i słyszeć zmęczonym szarżyzną dnia codziennego wilanom.

Mimo częste mankamenty, o których wyżej nieco zgryźliwie wspominałem, na dobrą rozrywkę w „Lutni“ w 99% można liczyć.

Czy dobra rozrywka to wszystko, czem sobie „Lutnia“ na wdzięczność publiczności wileńskiej zasłużyła? Dobra rozrywka — to bardzo dużo. Trzeba jednakże podkreślić rolę dobrego repertuaru muzycznego w kształceniu słuchacza i widza — i tu zasługa „Lutni“ niewątpliwa. Uzupełnieniem jego są starannie organizowane poranki symfoniczne, z muzyką poważniejszą przeważnie. Dzieci winne są „Lutni“ szczerą wdzięcznością za przedstawienia dla nich urządzone: jest to impreza niemniej potrzebna niż rozrywka „dla dorosłych“.

Dlaczego więc nie poprzeć takiej instytucji? Dlaczego nie ulżyć jej kłopotom pięknym gestem ze strony Miasta przez darowanie jej światła? Czy za 96 tysięcy, jakie rocznie płaci państwo do spółki z Miastem Teatrowi na Pohulance, mamy coś lepszego? Jestem przekonany, że gdyby „Lutnia“ rozporządzała większymi środkami, nie jeden z widzów wychodziłby z teatru z prawdziwie artystycznym przeżyciem. Między tem, jak wystawiła „Lutnia“ „Rose Marie“, a jak **możnaby** i należało ją wystawić, różnica jest olbrzymia — i jakościowo i ilościowo.

* * *

Na co należałoby uwagę zwrócić w krótkim przeglądzie repertuaru? W dotychczasowym przeważali kompozytorzy z pod znaku operetki wiedeńskiej: Kalman, Fall, Lehár, Abraham. W najbliższym czasie usłyszymy i ujrzemy „**Bajadere**“ Kalmana, „**Sybille**“ Jakobiego, parę komedij muzycznych jak „**Trafika pani generalowej**“ (Bus Feket'ego z muz. wileńskiego kompozytora, ukrywającego się pod kryptonimem Eska), „**Toi se moi**“ z muz. Simonsa. Dalej: „**Walzer paradies**“ Oskara Straussa, „**Carewicz**“ Lehara, „**Przygoda w Grand Hotelu**“ Abrahama. Wiadomość najcenniejszą chowam na ostatek: pp. Obarską i Kulczycką, które wystąpią w najbliższych sztukach.

„**Rewja noworoczna**“ zasługuje na podkreślenie ze względu na pomysłowość i staranność wszystkich numerów. Prawdziwe perły, to: teatr amatorski w Grajdołku, Wyrwicz w skeczu „semickim“, a przedewszystkiem z prawdziwym uczuciem zaśpiewane przez p. Wawrzkowicza dwie nastrojowe piosenki.

* * *

Na zakończenie — wiele mówiący o kulturze publiczności wileńskiej dokument. W foyer „Lutni“ stoi duży transparent o treści następującej: „Artyści najgoręcej proszą Sz. Publiczność o nieopuszczanie miejsc przed końcem przedstawienia“. Smutne, ale prawdziwe.

Kret.

Książki i czasopisma

Aleksander Świętochowski. — **Genealogja terażniejszości**. Warszawa 1936. Tow. Wyd. „Rój“.

„Przed 50 laty z warszawskiej Szkoły Głównej wyszedł liczny zastęp młodych, śmiałych, reformatorsko nastrojonych ideologów, którzy w społeczeństwie i literaturze wywołali głęboki, gwałtowny ruch umysłów, dotąd należycie niezrozumiany i nieoceniony a pospolicie zwany pozytywizmem“ (Str. 218) — Oto klucz do „genealogji“ poglądów autora. Tylko niepoprawny liberalizm sprzed 50-ciu lat może dyktować dziś takie np. zdanie: „Rząd nie potrzebuje być silnym, dość gdy jest rozumny i uczciwy. Natomiast silnym powinien być naród, a do tego dojść może tylko przez oświecenie całej swojej masy“ (Str. 213). Rząd nie potrzebuje być silnym w Polsce otoczonej państwami o rządach dyktatorskich. O, sancta simplicitas! Maksymiljan Fredro, gdyby odżył efektowniejszego i zgrabniejszego paradoksu wymyśliłby nie potrafił. Jedyne usprawiedliwienie, że to pogląd człowieka sprzed 50 lat.

Podobnych zdań w książce nie brak.

Są też gdzieś indziej i trafne uwagi nad naszą najbliższą przeszłością. Niestety, słuszny jest zarzut romantyczności naszej gospodarki w nowym okresie, niepodległościowym, mianowicie chodzi o rozbudowywanie górnych pięt przy niedostatecznym ugruntowaniu fundamentów.

A cała książka? — Ciekawa. Nawet bardzo ciekawa. Powinien ją jednak czytać tylko krytyczny czytelnik. Książka jest jednostronna, jak w malowaniu epoki Stanisława Augusta, tak i w przebiegu do naszych czasów. Jednostronność ta wyraża się w nagromadzeniu wyłącznie faktów ujemnych, w pomijaniu wszystkiego, co było lub jest zarzewiem lepszej przyszłości, w przytłumieniu kapturkiem pesymizmu każdego występującego jaśniej płomyka. Trudno, — wiek sędziwy ma swe prawa do rozgoryczenia i pesymizmu. Pomimo to książka czytelnikowi rozważnemu daje wiele do przemyślenia, — trzeba ją tylko traktować krytycznie — w przeciwnym razie może w duszy czytelnika tak przysypać popiołem zarzewie przyszłości, jak usiłuje przysypać przeszłość. Z.

Poprostu, Nr. 12.

Sprawozdanie z „procesu jedenastu“ takie, jakiego należało się spodziewać: cichy triumf z wyniku, który jest do pewnego stopnia wygraną wolności myślenia i między wierszami dyskretne pochichotywanie z potknięć prokuratora i niemilych świadków. Jednym słowem cechy wieku przełomowego, coś niecoś dziecinady (pochichotywanie) i pewne symptomy zbliżającej się dojrzałości (umiarkowanie w triumfie).

W zestawieniu z tem (triumf z wygranej wolności słowa) specjalnego zabarwienia (niestety — czarnego) nabiera artykuł

Czesława Miłosza „List do obrońców kultury“. Autor naogół przyznaje się do przynależności do pisarzy lewicowych, którzy są zadowoleni w Poproście. Ale... Niech on sam wypowie swej „ale“... „idę tam, gdzie moje poczucie etyczne najmniej cierpi i idę przeciwko tym klasom, których moralność nie może mi wystarczyć“. „To, co kocha humanista jest w dzisiejszym układzie zaniedbania i narażone na zagładę: oświata powszechna jest fikcją, sztuka niem dla kogo istnieć, miliony ludzi są pozbawione dostępu do tego, co dla humanisty jest sensem egzystencji. Więc z Mickiewiczem i Dantem pod pachą wkracza na nową ścieżkę, nie przewidując, że spotka na niej **wiernych, ale tępych** (podkreślenie sprawozdawcy) wyznawców, którzy będą mu zarzucać, że jest zanadto klasyczny, że zanadto lubi... Puszkina. I tak rozpoczyna się tragiczna podróż „między ustami a brzegiem puharu“...

No, cóż? Odwieczna tragedia prawdziwych artystów i niezależnych myślicieli, nie decydujących się pójść na pachołków do wiernych wyznawców doktryn i programów. Tak się Miłosz czuje dziś między „swoimi“. A co byłoby, gdyby oni doszli do władzy? Byłby proces tysiąca Miłoszów z wynikiem innym, niż wynik w procesie jedenastu. **War.**

Sprawy Nauczycielskie, Rok VII, Nr. 5, styczeń 1936 r.

Na wstępie historyczny panegiryk na cześć byłego Prezesa Okręgu Wil. Zw. Z. N. P. p. Stanisława Dobosza. Takie wylew patosu i czułościowości dobry był na łamach jakiegoś kącika „Między nami — kobietami“, a na płaszczyźnie pracy obywatelskiej razi. Sprawozdanie ze Zjazdu delegatów Okręgu wygląda oczywiście jak... sprawozdanie. Artykuł M. Matusz-

kiewiczza „Położenie szkoły i nauczyciela na terenie Wil. Okr. Szk.“ bardzo ciekawy, wszechstronny i przekonujący, znany jest już z łamów „Kurjera Wileńskiego“. Artykuł B. Owczynika „Zagadnienie szkolnictwa na Wileńszczyźnie“ przynosi bardzo ważne oświetlenie zmian na terenie szkolnictwa mniejszościowego. Oto parę najciekawszych uwag. Znaczną liczbę szkół prywatnych litewskich zastąpiono szkołami litewskimi państwowymi. Ludność przyjęła tę zmianę biernie. Protestowały tylko organizacje, które te szkoły przedtem prowadziły. Protesty nie odniosły skutku. Mimo to robota antypolska w tych ośrodkach nie ustała, przeniosła się ona tylko ze szkół do masowo zakładanych czytelni, świetlic i domów ludowych. A państwowe szkoły temu słabo się przeciwstawiają. Litwini sypią pieniędzmi na akcję oświatową, a nasze nauczycielstwo i szkoły rozporządzają więcej niż skromnymi środkami. „Dla społeczeństwa polskiego szkoła w środowiskach mniejszości jest taką samą szkołą, jak każda inna w środowiskach polskich. Myśl społeczna postępuje tu utartymi drogami“. „Tu (na Wileńszczyźnie nauczycielstwu) nie wystarcza wykształcenie zawodowe, nie wystarcza znajomość i umiejętność stosowania najnowszych zdobyczy pedagogicznych i dydaktycznych. Potrzeba tu czegoś więcej, mianowicie: zdolności wzięcia się i zrozumienia istoty trzech odrębnych kultur — polskiej, litewskiej i białoruskiej“. Posiada tę znajomość często dwór, ale dwór już dzisiaj nie jest tem, czem był dawniej. Z przewodnictwa kulturalnego pozostały już tylko pretensje do przewodniczenia w życiu organizacyjnym, pretensje nie uwzględniane z powodu rosnącego uświadomienia klasowego wsi. Jednym słowem jest nad czem się zastanowić i jest poco bić na alarm. **War.**

Rzecz nieskończona

Sztuka w 3-ach aktach z prologiem

O S O B Y :

Burmistrz miasta prowincjonalnego.
Celina, jego żona.
Iza, jego córka, pasierbica Celiny.
Lasocki I-szy, lekarz Kasy Chorych.
Śliski, lekarz, kolega Lasockiego I-go.
Lasocki II-gi, prawnik, polityk, stary rewolucjonista.
Sieliński, ojciec Celiny, sparaliżowany.
Woźny Kasy Chorych.

Zjawy w akcie II-im.

Ojciec Lasockiego I-go.
Matka Lasockiego I-go.
Lewicowi kandydaci na posłów.
Prawicowi kandydaci na posłów.
Fornal.
Inwalida wojenny.
Dziewczyna.

Rzecz dzieje się w roku 1922.

A K T I.

(Pokój przyjęć w poradni lekarskiej Kasy Chorych na prowincji).

I.

DR. LASOCKI. (*Pisze przy stoliku. Pacjent z mianą boleściwo-wyczekującą patrzy na jego ręce. Lasocki wręcza mu receptę*). Tu ma pan dwie recepty: na zastrzyki i na proszki. Zastrzyki każe pan robić sobie codziennie, a proszki będzie przyjmował trzy razy na dzień przed jedzeniem. Za tydzień przyjdzie pan do mnie znowu.

PACJENT. (*Kłania się uniżenie i patrząc wciąż w doktora, tyłem wycofuje się z pokoju*).

II.

WOŹNY. Pan burmistrz chce mówić z panem doktorem.

LASOCKI. A czy już chorych więcej niema?

WOŹNY. Jeszcze jedna osoba.

LASOCKI. Więc poproś pana burmistrza, żeby zaczął. Muszę wpieryw skończyć pracę. (*W tym czasie do pokoju niespostrzeżenie wchodzi Śliski*).

WOŹNY. (*Wychodzi*).

III.

ŚLISKI. Kolega wybaczy, że znowu wtrąć się w nieswoje sprawy. Ten burmistrz to wielka figura w naszym mieście. On siła znaczy. Może się obrazić, że mu kolega każe czekać.

LASOCKI. Nie mogę przecież chorym kazać czekać, a tymczasem załatwiać swoje sprawy prywatne.

ŚLISKI. Oniby się za to napewno nie obrazili. Tak zawsze tam, gdzie się tanio albo wcale nic nie płaci. Hołota do tego jest przyzwyczajona.

LASOCKI. Nie chodzi mi ani o względy chorych, ani o zadośćuczynienie starym, przyznać trzeba, podłym zwyczajom. Chcę tylko spełnić swoją powinność.

ŚLISKI. To pedanterja. Jeżeli chodzi o powinność, to kolega powinien teraz przedewszystkiem przyjąć burmistrza. Jesteście niepoprawnym teoretykiem. Chcąc być czemś i coś mieć, trzeba puszczać się na kompromisy.

LASOCKI. Wcale nie chodzi mi o to, aby „czemś być, albo coś mieć“.

ŚLISKI. Wiem, wiem... Wam chodzi o to, żeby coś „pożytecznego społecznie zdziałać“. Ale i w tym wypadku niestety nie może się obyć bez kompromisów.

A w przeciwnym razie życie wam skrepuje nogi, ręce, nawet myśl i wyrzuci na bruk, gdzie powiększycie nędzę i niedolę ludzką.

LASOCKI. Gdyby nawet tak się stało, — jeszcze pozostanie mi w nagrodę świadomość, że nie powiększyłem nędzy moralnej.

ŚLISKI. De gustibus non est disputandum. Jednak w tym wypadku moglibyście zrobić wyjątek bez narażenia swojego sumienia. Wiadomo mi, że burmistrz przychodzi do was w sprawie publicznej, politycznej, w sprawie wielkiej.

LASOCKI. To nie dla mnie, nie dla mnie. Ja się na tem nie znam. Sądzę, że powinnością moją jest nie brać się do wielkich rzeczy, skoro los wyznaczył mi sumienne wykonywanie małych.

ŚLISKI. Sądziacie, że leczenie chłopskich i mieszczkańskich żołądków jest ważniejsze, niż praca (z *patosem*) dla narodu, dla państwa, dla wywalczonej ofiarnej krwi ojezycznej.

LASOCKI. Za chłopskie i mieszczkańskie żołądki ja jestem odpowiedzialny, a za sprawy narodowe i państwowe kto inny.

ŚLISKI. Jeszcze wczoraj słyszałem z ust waszych narzekanie na brak poparcia dla waszych idealnych poczynań, na krępowanie waszej inicjatywy, na bezsilę człowieka, który jest tylko pionkiem. Przeciście sami mówili, że możnaby było coś zdziałać wtedy tylko gdy się ma jakieś silne wpływowe stanowisko tam u góry.

LASOCKI. Tak, to byłaby droga najpewniejsza, ale...

ŚLISKI. Jedyna, powiadam wam, jedyna. Jesteście w sile wieku, musicie dążyć do zdobycia stanowiska, które wam pozwoli należycie zdolności rozwinać. To nie jest robienie kariery, to obowiązek względem społeczeństwa. Nie wolno wam być niezem, gdy możecie być czemś. Cóż wy dziś możecie zdziałać? Cóż, jeżeli nawet wasze Towarzystwo Eugeniczne wprowadzi na drogę ucziwej pracy jakieś dziesięć prostytutek? Cóż to znaczy wobec setek tysięcy tych wyjętych z pod prawa istot? Cóż to znaczy jeżeli tu w Kasie Chorych wprowadzicie na czas waszego pobytu wzorowy ład i porządek? Usunie was stąd pierwszy lepszy matolkarjerowicz, aby opróżnić wakans dla swego protegowanego.

LASOCKI. Ja, ja to wszystko doskonale wiem, — nawet doświadczyłem, ale...

ŚLISKI. Ale nigdy nie pomyślałem o tem głębiej i nie wysnułem stąd wniosków. Otóż pozwólcie, że ja za was wysnuję. Trzeba od góry! Od góry! Bo inaczej wszystko na nic.

LASOCKI. Dobrze, ale nie domyślam się nawet, w jaki sposób ja, nikomu nieznanemu lekarzowi Kasy Chorych w prowincjonalnej dziurze, mógłbym wpływać na górę.

ŚLISKI. Otóż nadarza się okazja która drugi raz może się nie powtórzyć. Wiecie, że żyjemy w przededniu wyborów do nowego sejmu. Gdybyście zostali posłem.

LASOCKI. Dajcie mi spokój, kolego. Już się domyślam wszystkiego. Radykali, do których wy należycie, wysłali was do mnie. Ale nie z tego. Ja nie dzieliłem waszych przekonań. Ja wogóle wszelkie partje uważam za siedliska hipokryzji, rozsadni karjerowiczowstwa i towarzystwa wzajemnej adoracji.

ŚLISKI. Słusznie, słusznie, kolego, — podzielałem wasze zdanie. Od trzech dni już nie należę do partji. Przekonałem się, że żadną miarą nie da się przewyciężyć kołtuństwa, które tam panuje. Przychodzę do was tylko we własnym imieniu i z własnym planem. Otóż wespół z burmistrzem zamierzamy wystąpić z własną dziką listą i was na nią zapraszamy.

LASOCKI. Ależ, kolego, co się dzieje? Wy zdeklarowany socjał a burmistrz klerykał i szowinista... Cóż to będzie za cudaczny zlepieniec?

ŚLISKI. (z *patosem*) nigdy nie ceniłem socjalizmu ponad prawdę. (Spokojnie). Nazwisko radykała obok nazwiska znanego wstecznika dla nas będzie wspinała rękojmią bezpartyjności, albo ściśle międzypartyjności. Zaufanie ogólne będzie tem większe, jeżeli wy tam również będziecie figurować. Wy — człowiek niezaangażowany politycznie i cieszący się sławą przyjaciel i dobroczyńca wszystkich pracujących i upośledzonych.

LASOCKI. Jednak ja na posła się nie nadaję.

ŚLISKI. Co do tego, pozwólcie was zapewnić, że doskonale się nadajecie. Burmistrz jest tego samego zdania. Kaźcie go zaprosić.

LASOCKI. Wybaczenie, ale nie mogę odstąpić od swych zasad. Wpierw skończę pracę. Zajęliście mi pogawędką dziesięć minut, ale to już nie moja wina. Wchodzicie, kiedy się wam zamarzy. Szczęściem, chorzy mogą myśleć, że konferujemy w sprawach służbowych, niecierpiących zwłoki.

ŚLISKI. Ach pardon. (Ścisła ramionami i wychodzi).

IV.

LASOCKI. (Dzwoni).

WOŻNY. (Wchodzi).

LASOCKI. Proś następnego chorego.

WOŻNY. (Wychodzi).

V.

IZA. (Wchodzi mając twarz osłoniętą gęstą woalką).

LASOCKI. Niech pani będzie łaskawa zostawić płaszcz i kapelusz w poczekalni.

IZA. (Zdenotowana cofa się ku drzwiom, ale w pół drogi nagle z jękiem osuwa się na krzesło).

LASOCKI. (Podbiega). Co pani jest?

IZA. Boli.

LASOCKI. Gdzie?

IZA. (Podnosząc woalkę i wskazując na pierś). Tu.

LASOCKI. (Patrząc jej w twarz ze zdziwieniem i zachwytem). Niech pani zdejmie płaszcz i kapelusz.

IZA. (Kokieteryjnie z poczuciem własnego zwycięstwa). Tu czy w poczekalni?

LASOCKI. (Skwapliwie). Tu, tu!... Ja sam pani usługę.

IZA. (Zdejmuje płaszcz na ręce Lasockiego). Czy i śniegowce też?

LASOCKI. (Skwapliwie). Też, też, też!

IZA. (Pochyla się dla odpięcia śniegowców).

LASOCKI. (Rzuca się na kolana). Pani pozwoli, że pomogę. (Długo drżącymi rękami odpina. Iza patrzy z góry ze zwycięskim uśmiechem).

IZA. Już pan odpiął?

LASOCKI. Już i żałuję, że już.

IZA. Często słyszę takie żale... Pan zbyt impulsywny... Taka gwałtowna i nagła zmiana tonu... Jak tak dalej w tem tempie pójdzie... Nie wiem czy mogę pozwolić się zbadać?...

LASOCKI. Czy panią czem obraziłem?

IZA. Nie, skądże znowu. Tylko się obawiam, że pan mi się oświadczy podczas badania.

LASOCKI. I cóż w tem byłoby złego? Czyżby pani już była mężatką?

IZA. Mężatką nie jestem, ale jestem zakochana.

LASOCKI. To mógłbym rywalizować z pani wybranym.

IZA. Niech pan spróbuje.

LASOCKI. Spróbuję.

IZA. *(Staje przed nim w wyzywającej pozycji)*. Ciekawa jestem od czego pan zacznie? *(Przez chwilę patrzą filuternie jeden drugiemu w oczy)*.

LASOCKI. *(Nagle porywa ją w ramiona i całuje w usta)*.

IZA. *(Chwilowo jest mu powolna, potem odtrąca go z siłą)*. Jak pan śmiał? *(Pauza)*. Pierwszy raz widząc kobietę...

LASOCKI. Pardon, widzę panią nie pierwszy raz.

IZA. Pan mnie przedtem widywał?

LASOCKI. Widywałem.

IZA. Gdzie?

LASOCKI. Codziennie na spacerze między 4 a 5 na ulicy Kwiatowej i zazdrościłem tym młodzieńcom, którzy się tam przy pani codzień uwijali.

IZA. Więc pan mnie śledził... A to z jakiego powodu? Czyż to możliwe, aby pan był zazdrosny o nieznajomą kobietę?

LASOCKI. Nie śledziłem pani. Poraz pierwszy spotkałem panią tam przed paru miesiącami zupełnie przypadkowo. Nazajutrz mimowoli poszedłem tam o tej samej porze... w końcu przyzwyczałem się do tych codziennych przechadzek. Przecież to takie zrozumiałe i naturalne. Mam lat trzydzieści, a pani mniej więcej dwadzieścia parę, ponadto jest pani w moim guście. — więc cóż dziwnego, że się starałem panią spotykać.

IZA. A tak, tak, tak, — teraz już przypominam pana. A wie pan poco ja tu przyszłam?

LASOCKI. Wiem.

IZA. Skąd pan wie?

LASOCKI. Domyślam się.

IZA. Pan jest zbyt domyślny.

LASOCKI. Nie. Tylko w miarę. — tyle ile mi nakazuje obowiązek.

IZA. A więc — pocóż?

LASOCKI. Aby zasięgnąć porady lekarskiej.

IZA. *(Z przekąsem)*. A jakże. — właśnie dlatego.

LASOCKI. *(Zmieniając nagle ton)*. Pozwoli się pani zbadać?

IZA. A nie może mi pan dać lekarstwa bez badania?

LASOCKI. Ależ oczywiście mogę.

IZA. Pan jest nieznośny.

LASOCKI. Dlaczego?

IZA. Obowiązkiem lekarza jest domagać się, sły-
szy pan? — do-magać się zbadania chorej.

LASOCKI. A-a-a słusznie, — dziękuję pani za przypomnienie mi mojego obowiązku. Już przystępuję do badania.

IZA. A dlaczego pan przed chwilą zmienił ton?

LASOCKI. Przypomniałem sobie, że jestem lekarzem i że w tej chwili powinienem spełniać tylko obowiązki mego zawodu.

IZA. Przecież nie wszyscy lekarze są tacy nudni.

LASOCKI. Czy ja jestem „taki nudny“?

IZA. Owszem, wtedy, gdy pan sobie przypomni o obowiązkach swego zawodu. Śliski na przykład zawsze stara się nie pamiętać o obowiązkach.

LASOCKI. Kolega Śliski panią leczył?

IZA. *(Z przekąsem)*. O tak, przez parę lat.

LASOCKI. Więc dlaczego teraz zmienia pani lekarza?

IZA. Chciałam pana poznać. Przecie o panu całe miasto mówi. Pan jest sensacją.

LASOCKI. Więc pani przyszła szukać ilustracji do ostatniej sensacji. Jednak nie rozumiem dlaczego stałem się przedmiotem zainteresowań? Przecież nie ze mną nie zaszło.

IZA. Takiego człowieka, jak pan jeszcze w naszym mieście nie było.

LASOCKI. W czymże jest moja nadzwyczajność?

IZA. Czego ja się o panu nie nasłuchiłam. — Po pierwsze, nie chodzi pan ani do kasyna, ani do naszego Lursa, — po drugie nikt o panu nic nie wie, ani kto, ani co, ani skąd, ani jak, ani z kim. — po trzecie z nikim nie utrzymuje pan towarzyskich stosunków. — Jedyne źródło wiadomości o panu to dr. Śliski, ale i on nic więcej o panu nie wie, jak tylko to, że pan jest niepoprawnym teoretykiem i marzy-
cielem.

LASOCKI. Bardzo dobrze, — ale skoro nikt o mnie nic nie wie, to jakże mogłem stać się sensacją?

IZA. W tem właśnie największa sensacja. Pan jest jedynym człowiekiem w naszym mieście, o którym nikt nie wie.

LASOCKI. Teraz już rozumiem. Mam djagnozę. — Pani choruje na ciekawość i przyszła pani zoba-
czyć człowieka, o którym nic nikt nie wie.

IZA. Zobaczyć? — Nie. Przecież widywałam pana codzień.

LASOCKI. Gdzie?

IZA. Na tych przechadzkach, o których pan wspomniał.

LASOCKI. Przed chwilą mówiła pani, że mnie ledwo sobie przypomina.

IZA. Sama nie wiem dlaczego tak powiedziałam. Chciałam pana poznać, — bliżej poznać. Mówią, że pan jest ostatnim na świecie człowiekiem, który usi-
luje żyć według sprawiedliwości. A ja przestałam wierzyć w sprawiedliwość.

LASOCKI. W tak młodym wieku? To chyba tylko wpływ jednostronnej lektury.

IZA. Nie, panie, — życia. Ale nie mówmy o tem teraz.

LASOCKI. Więc panią nic nie boli?

IZA. Już nic. — Przestało. — Naprawdę już nie boli.

LASOCKI. Pozostaje mi tylko pożegnać panią i poprosić o pozwolenie złożenia wizyty w domu jej rodziców.

IZA. Pozwolenie bardzo chętnie daję i czekam. — Ale niech mnie pan wypuści innemi drzwiami, bo tam w przedpokoju siedzi mój ojciec.

LASOCKI. Ach. — Więc pani jest córką burmistrza. — Niestety innego wyjścia niema. Tam jest jeszcze jeden pokój, w którym pracuje kolega Śliski.

IZA. Doskonale. Porozmawiam sobie z nim, za nim ojciec pójdzie.

SCENA VI.

BURMISTRZ. Bardzo mi przyjemnie, że widzę szanownego pana doktora dobrodzieja.

LASOCKI. Mnie również bardzo przyjemnie, że mogłem w tak łatwy sposób sprawić panu przyjemność. Bardzo przepraszam, że ta przyjemność była poprzedzona nieprzyjemnością oczekiwania.

BURMISTRZ. Nic nie szkodzi, nic nie szkodzi — Sam byłem młody i rozumiem. Młodość wino, krew, miłość... Ach, panie, i ja byłem młody...

LASOCKI. Nie rozumiem pana. Nie mogłem pana wcześniej przyjąć, bo tu była chora osoba, którą musiałem zbadać.

BURMISTRZ. (*Chichocząc*). Ależ, panie doktorze, poco między nami tyle ceregieli. Poco się pan usprawiedliwia? — I ja byłem młody, i ja badałem, ale... wolałem badać zdrowe. — (*rozglądając się*). Widocznie pacjenci pana doktora wychodzą innemi drzwiami?

LASOCKI. Nie. — Temi samemi, któremi wchodzi.

BURMISTRZ. Wybaczy mi pan moją starezą ciekawość, ale w mieście tak dużo mówią o ulepszeniach, które pan wprowadza. Przypuszczałem że to chyba jeszcze jedna inowacja higieniczna.

LASOCKI. Żeby zaspokoić pańską ciekawość, powiem, że osoba, która weszła tu przed panem, jest bardzo poważnie chora. Bojąc się pomylić w diagnozie, prosiłem kolegę Śliskiego, który pracuje w przyległym pokoju, żeby ją również zbadał. Potem zrobimy consilium.

BURMISTRZ. Niezmiernie jestem wdzięczny panu za uprzejme objaśnienie tajemnic zawodu lekarskiego. Ja sam byłem młody i rozumiem. Wiadomo: taka śliczna osóbką... oczywiście bez consilium nie można. Ja rozumiem pana doktora doskonale... Ja tylko z miłości do miasta już tak zawsze ciekawie się tem, co się w mieście dzieje. Ot, na przykład bardzo cieszy mnie działalność, założonego przez pana doktora, towarzystwa eugenicznego.

LASOCKI. A jednak rada miejska odmówiła nam kredytu na założenie pracowni krawieckiej dla uratowanych dziewcząt.

BURMISTRZ. Chciałem, — Bóg świadkiem, chciałem. Ale cóż ja poradzę, mając tylko jeden swój własny głos przeciwko całej rodzinie. A chciałem, — bo to człowiek za owej górnej i chmurnej młodości przysporzył, oj przysporzył kłopotów tego rodzaju instytucjom. Oj, przyjemne były czasy. Teraz to już tylko enota pozostała, niewinność sama, — grzechy człowieka, jak Judasz opuściły. Bardzo

odpowiedni czas byłby na pokutę. — ale cóż ja poradzę kiedy Bóg nie pozwolił...

LASOCKI. Spodziewam się, że jakaś ważna sprawa sprowadza pana prezydenta do mnie.

BURMISTRZ. Sprawa, nie sprawa, ale coś w rodzaju sprawy. Właściwie głęboka troska o dobro naszego kraju.

LASOCKI. Więc coś w związku z polityką. Uprzedzam, że ja się do polityki nie mieszam. Pilnuję swojej grzędy, a gospodarkę całego pola pozostawiam ludziom do tego powołanym.

BURMISTRZ. Ja też wolę do polityki się nie mieszać. Ale, panie, trzeba. Kiedy to i cierpliwości braknie. Już rok trzeci cieszymy się niepodległością naszej Najjaśniejszej Rzeczypospolitej, a bałagan nie ustaje. Człowiek patrzy, patrzy na to wszystko, a w końcu się zniecierpliwi.

LASOCKI. Wolnoż wiedzieć, co pana tak bardzo zniecierpliwiło?

BURMISTRZ. Ano chociażby te partyjne targi i intrygi. Wszystko to się kieruje tylko własnym interesem, jak gdyby nasza ukochana ojczyzna była tylko pełnem korytem dla tych za przeproszeniem wieprzów nienasyconych. Na ustach u wszystkich program, a program istnieje tylko na papierze. Naród, Bóg, Ojczyzna, Miłość, Równość, Braterstwo wszystko to wydrukowano wielkimi literami i grubym drukiem, — ale w rzeczywistości to niema tam nic, oprócz dobijania się o zaszczyty i zyskowne stanowiska.

LASOCKI. Więc szanowny pan postanowił zmienić stronnictwo?

BURMISTRZ. Co pan mówi, panie dobrodzieju? — W moich latach zmieniać stronnictwo i przekonania — to rzecz niemożliwa. — Zresztą niktby nie uwierzył w tym wypadku w moją szczerłość. Ja już tak i umrę z Bogiem i Ojczyzną na ustach i z nienawiścią do żydów, masonów i wszelkich inowacyj w sereu.

LASOCKI. Czem mógłbym ulżyć w jego wątpliwościach i rozterce.

BURMISTRZ. Zaraz, zaraz. Mam konkretny projekt. Coby pan rzekł, gdybyśmy tak we trójkę wystawili własną dziką listę?

LASOCKI. To jest kto?

BURMISTRZ. Pan, ja i pan Śliski.

LASOCKI. Ależ to anachronizm. Ja jestem apolityczny, pan należy do stronnictwa skrajnie prawicowego, a pan Śliski jest czołową osobistością w radykalnem ugrupowaniu.

BURMISTRZ. Otóż to właśnie najciekawsze. Po szlibyśmy do wyborów z hasłem: Precz z doktryną partyjną. Niech żyje prawda i sprawiedliwość.

LASOCKI. Zawsze byłem tego zdania.

BURMISTRZ. A widzi pan, wcale nie jest pan apolityczny, tylko pan jest uczciwym politykiem.

LASOCKI. Przyznać się muszę, że przed chwilą mówił mi o tym projekcie pan Śliski, ale nie tak wyraźnie jak pan. Ta cała sprawa wymaga namyślu i to gruntownego namyślu.

BURMISTRZ. A jednak trzeba się spieszyć. Panie doktorze, kochanku mój, synku mój (*placze*). Wybacz mi pan, nie gub całej sprawy, która się świetnie zapowiada.

LASOCKI. Jednak muszę się namyśleć.

BURMISTRZ. Oto patrz projekta. (*Bierze tekę*).

LASOCKI. W takim razie przejdźmy do apteki dla ich rozpatrzenia, bo tu należy dać możność woznemu sprzątnąć. — Zbliżają się godziny przyjąć kolegi Śliskiego.

BURMISTRZ. A doskonale, doskonale. Rozumiem, sam byłem młody. Zawsze przed konsylium trzeba sprzątnąć. Ja to mój panie jestem stworzony na turaka, ale się zakochałem, i cóż bez wzajemności.

LASOCKI. Przecież pan burmistrz jest żonaty?

BURMISTRZ. A jednak bez wzajemności żonaty. Tysiąc złotych za sam ślub zapłaciłem a jednak bez wzajemności. (*Wychodzą*).

SCENA VII.

IZA. (*Przebiega przez scenę i spogląda przez dziurkę od klucza w drzwiach które wyszli Lasocki i burmistrz*).

Czy oni już tu nie wrócą?

ŚLISKI. Spodziewam się, że Lasocki będzie miał dość roztropności, aby nie prowadzić już tu ojezulka. Ale chodź no tu małutka dokończymy naszą rozmowę. (*Obejmuje ją w pół, prowadzi ku fotelowi, siada i sadza ją sobie na kolanach*).

IZA. (*Zrywa się*). Nie, nie, nie, — jak tak nie chcę.

ŚLISKI. A to co za nowina? — Nie żartuj ze mnie moją małą. (*Znowu ciągnie ją ku sobie*).

IZA. Pomówmy lepiej tak. (*Siada opodal*).

ŚLISKI. (*Tonem suchym*). Nie podoba mi się to.

IZA. Trudno. — Cóż ja na to poradzę?

ŚLISKI. Jeżeli tak nadal będziesz postępować, możesz mi się przestać podobać. Lubię tylko kobiety uległe, potulne.

IZA. Kiedyś mnie namiętniał do flirtu z tym starym obleśnym pułkownikiem, który żyrował twoje weksle, to powiedziałaś, że to właśnie dodatnie wpływa na twoją miłość.

ŚLISKI. No tak, ale tamten flirt był bezpieczny, bardzo bezpieczny, pułkownik był bardzo stary. Ja się grzałem u ognia, który on niecił.

IZA. W dodatku zlicytowali go za twoje weksle. Teraz będzie się grzał ten, kto ogień roznieca.

ŚLISKI. Izo, czy ty na serjo myślisz bałamucić Lasockiego?

IZA. Bałamucić nie myślę.

ŚLISKI. Więc cóż zamierzasz?

IZA. Chcę go w sobie rozkochać.

ŚLISKI. POCO?

IZA. Żeby być bardzo, bardzo szczęśliwą.

ŚLISKI. Czy ze mną nie jesteś szczęśliwą?

IZA. Nie. I nigdy z tobą szczęśliwą nie byłam. Czulałam się z tobą zawsze poniżoną, sponiewieraną, wyrzucaną za nawias życia. Bezcelnością chciałam zakryć wstyd, który mnie zawsze palił, a szczególnie od chwili gdy do naszego domu weszła macocha. A teraz to o tem, co między nami było, myśleć bez wstępu nie mogę. I ta pierwsza noc w brudnym warszawskim hotelu, i te twoje pokątne pieszczoty, i te stosunki.

ŚLISKI. Izo, co ci jest? Opamiętaj się. (*Podchodzi i chce ją wziąć za rękę*).

IZA. Nie dotykaj mnie. Wstrętne to wszystko, takie wstrętne, takie podle... (*Spazmy*).

ŚLISKI. Izo, uspokój się. Za chwilę wejdzie Lasocki. Co on sobie pomyśli?

IZA. (*Tłumi płacz*).

ŚLISKI. Widzę, że poprostu zadurzyłaś się w tym Lasockim, ale to przejdzie. Nie obawiam się tego rywala. Pozwalam ci się wyszumieć. On prędko cię znudzi. Dla takich, jak ty, kobietek trzeba takich, jak ja, gagatków. Cnotliwiec może zająć cię nie dłużej jak przez tydzień, a ręczę, że Lasocki, jeżeli i widział kiedy dessous kobiece to chyba tylko na witrynie galanteryjnego sklepu.

IZA. (*Z zaciekawieniem*). Sądziś, że on nigdy nie posiadał kobiety?

ŚLISKI. Przekonany jestem. Wygłasza mi tu ciągle swoje teorie o świętości i nienaruszalności praw małżeńskich, o potrzebie jednakowej etyki dla mężczyzn i kobiet...

IZA. A tyś mi mówił, że takich mężczyzn niema.

ŚLISKI. (*Lekko zdetonowany*). Są widzisz, są, ale to są niedołęgi. Są cnotliwi, bo nie potrafią nawet wykroczyć przeciw cnotcie, a chcąc się usprawiedliwić przed samymi sobą, snują teorie, uzasadniające ich postępowanie. Bo to im przykro czuć się upośledzonymi pod względem męskości. W ten sposób niedołość podnoszą do godności cnoty.

IZA. (*Zamyślona*). Więc jednak istnieją mężczyźni uczeni...

ŚLISKI. Dowodziłem ci już tyle razy, że to nie nieznaczący drobiazg.

IZA. Myślę, że gdybyś ty był taki, jak Lasocki, tobyś kochał tylko mnie jedną.

ŚLISKI. Dajże spokój temu Lasockiemu, — on wcale kochać nie potrafi.

IZA. O, potrafi, — napewno potrafi.

ŚLISKI. A skądże ty wiesz? — Czy między wami coś zaszło?

IZA. Nie, nie, — ale wiem.

ŚLISKI. To mię zaczyna denerwować. Gdyby nie to, że ten człowiek jest mi w tej chwili szalenie potrzebny, zabroniłbym ci widywać się z nim.

IZA. Właśnie, gdyby nie to, że ci jest potrzebny. A wiesz poco tu przyszedłem?

ŚLISKI?

IZA. Podszluchałam twoje z moim ojcem narady i przyszedłem uprzedzić Lasockiego, że macie zamiar wystrychnąć go na dudka.

ŚLISKI. Jak śmiesz? — Nie zrobisz tego.

IZA. Nie zrobię, bo nagle zmieniłam plan.

ŚLISKI. Więc cóż zamierzasz?

IZA. Namówię go, aby kandydował z waszej listy.

ŚLISKI. Izo. Jedyna. Źródło mądrości. Wycaluję cię dziś wieczorem tak, jak wtedy, — pamiętasz?

IZA. Nie przyjdę do ciebie wieczorem.

ŚLISKI. Dlaczego?

IZA. Bo wrócę tu do Lasockiego.

ŚLISKI. (*Oschle*). Nie przyjdiesz tu dziś wieczorem.

IZA. Przyjdę.

ŚLISKI. (*Tak samo*). Ręczę ci, że nie.

IZA. Ciekawam dlaczego?

ŚLISKI. (Z wymuszonym spokojem). Dlatego, że... dziś wieczorem... przyjdiesz do mnie.

IZA. Nie, nie, nie. Za nic.

ŚLISKI. A ja ci mówię, że przyjdiesz.

IZA. Któż mnie zmusi?

ŚLISKI. Twoja, raczej nasza wspólna przeszłość i strach przed opinią. Że panna Iza jest kochanką pana Śliskiego, o tem w ciągu dnia może się dowiedzieć całe miasto. Lasocki wówczas wyrzuciłby cię za drzwi, jak tę ladacznicę, która mu się chciała narzucić przed paru dniami.

IZA. Łotr.

ŚLISKI. Mniejsza o epitety. Zapamiętaj tylko, że dzisiejszy wieczór masz spędzić u mnie, w naszym zwykłym, zacisznym gniazdku.

IZA. Nigdy, nigdy, — za nic w świecie. (Za sceną słychać kroki Lasockiego).

ŚLISKI. Wieczorem wszystko się naprawi. (Nuci). I od tej chwili będziemy żyli beztróskiem życiem kwiatów i motyli...

(c. d. n.)

Władysław Arcimowicz.

Z AKADEMICKIEGO KLUBU WŁÓCZĘGÓW

Włóczęga do zimnego oceanu

Byłem w Finlandji. Te dwa słowa powiedziane „włóczędze” rozmiłowanemu w wagabundach po lasach i górach, po ciągnących się bez końca jeziorach, mają to samo znaczenie, co nonszalancko, gdzieś na głuchej i zapadłej prowincji rzucone „byłem w Paryżu”.

Paryż, Berlin, to miasta, przyciągające myśli wszystkich „zwykłych zjadaczy chleba, którzy wyjechali zagranicę, aby być w „Foliebergère”, spacerować po „Champs Elysées”, czy „unten den Linden”, wdrapywać się na wieżę Eiffla i t. d.

Dla człowieka, który kocha słońce i piękno natury, który wolał włóczęgi kajakami po jeziorach, wśród niezliczonej ilości mniejszych i większych wyspek, od hałasów i zaduchu wielkomiejskich ulic, noclegi w namiotach na świeżem powietrzu od zadymionych i przepelnionych tłumem ludzi lokali tanecznych — ten, mając do wyboru Paryż i Finlandję, nie zawaha się z pewnością.

Finlandja, a raczej, jakby to należało mówić prawidłowo Suomi, to kraj który bez przesady można nazwać prawdziwym rajem dla „włóczęgow”. Widoki i krajobraz cudowne, koszta podróży i życie (a to najważniejsze) w porównaniu z naszymi znacznie są niższe, ludność nadwyraz przychylna i życzliwa — czegoż więcej jeszcze żądać?

Finlandję zwiedzałem z jednym z moich najlepszych przyjaciół. We dwójkę, to jadąc pociągiem, to autem, płynąc statkiem czy łódkami, to znów maszerując per pedes podeszwarum, dotarliśmy aż do najdalej na północ wysuniętego punktu, leżącego nad Oceanem Lodowatym. Przed wyjazdem z Helsinek uzbroiliśmy się w wszelkiego rodzaju możliwe papierki i różne znaczki, które nam miały pomagać i ułatwiać naszą podróż.

Akademiści fińscy zasadniczo, ze względu na niską taryfę kolejową nie mają żadnych zniżek kolejowych; wobec jednak tego, że w Polsce zniżki kolejowe są im przyznawane ruszyliśmy do Dyrekcji Kolejowej w Helsinkach z prośbą o przyznanie nam 50% ulgi. Przyjęto nas bardzo grzecznie. Przyczem, rzecz charakterystyczna, ponieważ specjalnych zniżek nie mają, otrzymaliśmy małą karteluszkę, odręcznie ołówkiem wypełnioną, nawet bez żadnego stempla, na podstawie której wykupiliśmy bilet ulgowy.

Z pięknego i obszernego dworca w Helsinkach ruszyliśmy na północ. Wokoło rozbrzmiewała miękka i melodyjna mowa Finów. Pociąg toczył się szybko, pędząc w jakieś nieznane.

Obaj wspominaliśmy Helsinki, nasze spacerowanie żaglówkami po morzu podczas słynnych białych nocy fińskich, kiedy można zupełnie swobodnie czytać i pisać. Coś tak zupełnie nienaturalnego. Noc, a jednak jest zupełnie jasno. Wrażenie ogromne. Te wałęsania się oczyma i między szterami stały nam wyraźnie przed oczyma, z drugiej strony, myśleliśmy co nas jeszcze czeka — wszak mieliśmy przed sobą przeszło 3.500 km.

Pierwszym naszym etapem jest Viipuri, stare i malownicze miasto, rozrzucone nad brzegiem morza. Tułaj poraz pierwszy wyraźnie odczuwamy, że nasza znajomość obcych języków nie przyda nam się zupełnie, a że jedynie można się porozumiewać po fińsku, względnie międzynarodowym językiem „na migi”. Zmęczeni zwiedzaniem miasta, głodni okropnie udajemy się do jakiejś zachęcająco na pierwszy rzut oka wyglądającej restauracji. Tłumaczymy im po niemiecku, angielsku, francusku — mój przyjaciel zaczyna nawet piękną przemowę po łacinie — i tu staje się cud. Kelnerka robi minę jakby nas doskonale zrozumiała i odchodzi. Mocno zadowolony, że nas wreszcie rozumiano — czekamy. Jok siedzi strasznie dumny, że jego przemowa odniosła tak kolosalny skutek i pobłażliwie mi wyjaśnia, jak to trzeba powiedzieć, że jestem głodny i chcę coś dostać do jedzenia.

Po chwili kelnerka z tryumfem przynosi piwo zagrzane — dlaczego — do dzisiejszego dnia nie mogę tego zrozumieć.

Bez słowa, spojrzalem z pogardą na Joka, który z wielkiem zainteresowaniem oglądał wiszący przed nim na ścianie obraz...

Sytuacja była komiczna, ale żołądek domagał się swego i nie myślał wcale zrezygnować z jedzenia. Wówczas zauważyliśmy na ścianie wiszący cennik, który miał się stać dla nas ratunkiem. Sprawa nie poszła jednak tak łatwo, gdyż nie mogliśmy nic z nazwy wywnioskować i musieliśmy zgadywać, obstawiając to jedno to drugie.

(c. d. n.)

Konrad Bohdanowicz.

Kronika akademicka

WIEC W SALI ŚNIADECKICH.

We czwartek dnia 23 stycznia odbył się w Sali Śniadeckich w Gmachu Głównym Uniwersytetu wiec akademicki zorganizowany za pozwoleniem Rektora. Na porządku dziennym była sprawa obniżki opłat akademickich, w związku z czym dla lepszego zmanifestowania uchwalonej w powyższej sprawie rezolucji, postanowiono jednodniowy strajk na całym U. S. B.

Jednak nietylko ta jedna, bardzo pożyteczna inicjatywa zaprzętała umysły organizatorów. Został postawiony wniosek rozwiązania P. A. Z. Z. M. „Liga” i po przegłosowaniu wniosek przeszedł. Obecnie więc umysły części braci akademickiej zaprzętnię są teorią rozwiązania „Ligi”. Jak w praktyce do tego podejść — zobaczymy. Przedtem jednak prawdopo-

dobnie wypowie się w tej sprawie w ten czy inny sposób ogół młodzieży, którego znaczna część udziału w wiecu nie wzięła, ponieważ „Liga” posiada dużą liczbę członków oraz sympatyków i w ostatnich czasach, jeśli chodzi o żywotność organizacyjną i pracę tak na terenie Wilna jak i w dalszych terenach wykazała tak znaczny postęp, iż wątpić należy, aby rozwiązanie organizacji wyprzedzającej inne posiadające większą tradycję i bez porównania większe możliwości na U. S. B. byłoby pożądane.

Po projekcie rozwiązania „Ligi” przyszedł może nieco nieaktualny, niemniej wniosek, odebrania tejże prawa reprezentowania młodzieży polskiej zagranicą. Wniosek ten nie przeszedł, ale przecież nie logika rządzi wiecem a entuzjazm ducha.

Pozatem dyskutowano nad poważną kwestją istnienia Towarzystwa Przyjaciół Akademika i również postanowiono je unicestwić.

Melodysta—Włóczęga.

WŁÓCZĘGA U SIEBIE

196 posiedzenie Klubu w dniu 20.XII. 1935 r. poświęcone było referatowi dr. Henryka Niewodniczańskiego p. t. „Moje wspomnienia z rocznego pobytu w Anglii”. Streszczenia nie nadestano.

197 posiedzenie (zamknięte) w dniu 10.I. 1936 r. poświęcone było sprawom organizacyjnym.

198 posiedzenie Klubu w dniu 17.I. 1936 r.

P. Leon Lyszczyk wygłosił referat na temat „Sytuacja szkolnictwa powszechnego i nauczycielstwa na terenie Okr. Szk. Wil.”.

W bieżącym roku szkolnym na terenie K. O. S. W. posiadamy 465.000 dzieci w wieku szkolnym (od 7—14 lat życia), z czego do publicznych szkół powszechnych uczęszcza około 83%. Realizacja obowiązku szkolnego w ostatnich latach przedstawiała się w następujący sposób: w roku szkolnym 1931/32 uczęszczało do publicznych szkół powszechnych 93% dzieci, w roku 1932/33 — 91%, w 1933/34 — 89%, w 1934/35 — 84%. A więc z każdym rokiem ilość dzieci objętych obowiązkiem szkolnym maleje. Zjawisko to jest zresztą typowe i dla stonków w Polsce, a zostało ono wywołane z jednej strony nadmiernym w ostatnich latach przyrostem dzieci w wieku szkolnym, a z drugiej strony kryzysem finansowym, który nie pozwala Skarbowi Państwa na coroczne powiększanie ilości etatów nauczycielskich. Wobec tego część dzieci, która nie mogła zmieścić się w szkole, otrzymała odroczenie obowiązku szkolnego, — część nie została przyjęta do szkoły, — a część nie realizuje obowiązku szkolnego skutkiem nieobjęcia przez sieć szkolną (dzieje się to wtedy, gdy odległość drogi dziecka do szkoły przekracza 3 km.).

Dzieci przyjęte do szkoły znajdują się prawie corocznie w gorszych warunkach (poza lokalowem), gdyż tą samą ilością etatów nauczycielskich musi się obejmować coraz większą liczbę dziatwy szkolnej. Wzrasta skutkiem tego obciążenie nauczyciela, które przeciętnie przedstawia się na terenie naszego Kuratorjum następująco:

w roku szkolnym 1932/33	przypadało 65	uczniów na 1	naucz.
„ „ 1933/34	„ 69	„ „ 1	„
„ „ 1934/35	„ 72	„ „ 1	„
„ „ 1935/36	„ 74	„ „ 1	„

Jeśli się zważy, że równocześnie zmniejszono ilość godzin nauczania i że 45% naszych dzieci uczęszcza do szkół najniższej zorganizowanych (t. zw. jednoklasowych, gdzie wszystkie dzieci uczy w ciągu 7 lat 1 nauczyciel) należy dojść do wniosku, że warunki, w których pracuje szkolnictwo powszechne przedstawiają się u nas wyjątkowo niepomysłnie. Powyższe szczególnie plastycznie wystąpi wówczas, jeśli zważymy, iż przeciętne dla Polski w zestawieniu z naszym Kuratorjum przedstawiają się następująco: w roku szkolnym 1934/35 z pośrednictwem (enie) szkół powszechnych uczęszczało przeciętnie:

W Polsce: do szkół 1 klasowych 19% do szkół 7 klasowych 34%
Na terenie K.O.S.W. „ 43% „ „ 19%

Widać z powyższego, że spora ilość naszych dzieci pozbawiona jest najwyższej zorganizowanej szkoły powszechnej i skazana na uczęszczenie do owej najniższej zorganizowanej—1-klasowej. Objaw ten jest dość groźnym, jeśli się zważy, że procent dzieci uczęszczających do jednoklasowych szkół corocznie wzrasta i że wychowawcze zadania nauczyciela na naszym terenie są trudniejsze i bardziej odpowiedzialne, niż na terenie województw centralnych czy zachodnich.

Całość nie nasuwa wniosków dodatnich i w pewnej mierze uzasadnia nikły procent dzieci kończących szkołę (przeciętnie 4% rocznie).

Większość izb lekcyjnych mieści się w lokalach wynajętych, niezawsze dostosowanych do potrzeb szkolnych. Działalność władz szkolnych i miejscowego Towarzystwa Popierania Budowy Publ. Szkół Powszechnych posuwa się dość wolno i w bieżącym roku szkolnym istnieje jeszcze około 1000 (20%) takich izb lekcyjnych, które nie są odpowiednie dla celów szkoły.

Często czynsz za wynajęte lokale nie jest we właściwym czasie opłacany, co wywołuje konflikty. Cierpi na tem również sprawa utrzymania czystości i porządku w lokalu szkolnym.

Zaopatrzenie szkół w pomoce naukowe jest na naszym terenie w większości wypadków niedostateczne. Szkoła bardzo często jest tu skazana na wyłączną samowystarczalność, co w naszych warunkach (miedza wsi) uznać trzeba za równoznaczne z pozbawieniem szkoły pomocy naukowych. Dziecko przechodzi do szkoły bez niezbędnych podręczników czy przyborów szkolnych często głodne i nienależycie ubrane. Dziecko takie nie czyni zadość wymaganiom i pozostaje z roku na rok, — a w końcu opuszcza szkołę, nie kończąc jej.

Warunki pracy nauczyciela stale się pogarszają. Oddziaływaniem swem obejmuje on coraz większą liczbę dzieci. Własnych dzieci natomiast kształcić nie może. Należy mu od gminnego samorządu dodatek mieszkaniowy, często nie jest wypłacany. Pozatem wisząca nad nim groźba podporządkowania władzom administracji politycznej i groźba pozbawienia automatycznego awansu nie może dodać mu energii i zwiększyć dodatniego samopoczucia, tembardziej, że **groźby te łączą się z konkretnem pozbawieniem pewnych praw, które nauczyciel posiadał wtedy, gdy pracował w znacznie lepszych warunkach.** A skala wymagań w zakresie wyników pracy wychowawczej i nauczycielskiej mimo to corocznie wzrasta.

Całość nie przedstawia się różowo i pozwala na stwierdzenie, że już najwyższy czas szukać środków zaradczych ratujących szkolnictwo powszechne na Wileńszczyźnie przed staczeniem się w przepaść.

199 posiedzenie w dniu 25.I. 1936 r. poświęcone było referatowi **dyr. Władysława Wielhorskiego** p. t. „Najistotniejsze trudności porozumienia polsko-litewskiego”. Streszczenie damy w następnym numerze.

Gorzkie żale

TROUBLEUR DE LA PAIX.

Rola ochotniczego „oskarżyciela pomocniczego” — p. St. Mackiewicza w procesie komunistów studentów i asystentów U. S. B. spotkała się z właściwą oceną całej prawie prasy polskiej. Solidaryzujemy się z tą oceną, co nie znaczy, oczywiście, byśmy solidaryzowali się w jakiegokolwiek bądź mierze z młodzieżą, oskarżoną o komunizm. W sprawie tej młodzieży zajęliśmy stanowisko w innym miejscu. Co do p. Mackiewicza — sądzimy, że omawiany proces był jeszcze jednym dowodem roli charakterystycznej, jaką odegrał redaktor Mackiewicz w Wilnie. Jest on przysłowiowym „troubleur de la paix” w Wilnie i to w sensie ujemnym. Wystąpienia p. Mackiewicza nie wnoszą bowiem inicjatywy ani pobudzają do działania. Prowadzą z reguły do jałowych sporów personalnych i pozostawiają po sobie jedynie niesmak.

KONFERENCJA POROZUMIEWAWCZA PRAC. UMYSŁ.

26 stycznia b. r. w lokalu Związku Zaw. Naucz. Pol. w Wilnie odbyła się „konferencja porozumiewawcza pracowników umysłowych”. Co to było? Trudno określić. O co chodziło? Jeszcze trudniej.

A więc: 1) Organizacje lokalne posiadają swoje centralne zarządy w Warszawie. Dlaczego te nie zajmą się stworzeniem takiego międzyorganizacyjnego porozumienia? Dlaczego trzeba to robić po miastach wojewódzkich, a nie po powiatowych, jeżeli już zaczynać od dołu? Jednym słowem dlaczego zaczynamy nie od góry, nie od dołu, ale od środka?

2) Jaka jest geneza tego przedsięwzięcia?

3) Co znaczą słowa z referatu p. t. „Sytuacja świata pracy w chwili obecnej” o tem, że konstytucja stworzyła podstawy do praw pracowników umysłowych, a ordynacja wyborcza je przekreśliła? Czy tu chodzi, przypuścmy, że między innymi, o przyszłe wybory?

4) Co znaczą słowa w II części uchwalonej rezolucji: „domagać się, aby Międzyzw. Kom. Poroz. Prac. Umysł. w Wilnie w swej pracy kierowała się jedynie względami natury zawodowo-społecznej, podporządkowując myślenie polityczne jej członków naczelnej idei zespolenia świata pracowniczego wzajemnej pomocy i współdziałania ku obronie jego interesów oraz podniesienia wagi i wpływu na życie państwa? Czy nie jest to próba przeniesienia partyjnicstwa na grunt Związków Zawodowych?”

Na wszystkie powyższe pytania i na wiele innych posiedzenie z dnia 26 stycznia br. nie daje jasnej odpowiedzi. Kto tego ciekaw, musi poczekać, aż z mgławicy słów wyłoni się coś konkretniejszego.

AUTONOMISCI...

Pochmurne popołudnie styczniowe. Wzdłuż pałacu reprezentacyjnego posuwa się grupa około 30 studentów. Są batorówki, dekle korporanckie, kapelusze. Idą przykładnie, cicho i spokojnie, omijając policjanta przy drzwiach pałacu. Doszli do bramy uniwersyteckiej i część już znikła za nią. Wówczas rozlega się głos — przywódcy zapewne: „niech żyje autonomia”. Chór ryczy: „...autonomia”!... Zaraz potem jakiś naderwany fałset: „precz z ydami”. „Precz”!... wtóruje zgodnie chór głosów. Zniknęli. Przechodnie oglądają się za tą „przyszłością narodu”. Niejeden myśli: „hm... autonomia dobra rzecz — ale co tu robią żydzi?” Konia z rzędem temu, kto to zrozumie.

SOW—BANDYTA.

Przed paru dniami sala posiedzeń Sądu Okręgowego w Wilnie stała się widownią wypadku, bodajże nienotowanego w dziejach polskiego sądownictwa. Komunista postrzelił w trakcie przewodu sądowego świadka, zeznającego przeciw oskarżonemu komunistom. Wysłannik Moskwy wymierzył swoją, sowiecką „sprawiedliwość” w polskim sądzie, w niepodległej Rzeczypospolitej. Korzystając z osłupienia sądu, zdołał zbiec na klatkę schodową, gdzie go dopiero powalili kule policjanta.

Najwyższy czas, by nasze społeczeństwo inteligenckie otrząsnęło się z psychozy kiereńszczyzny, które je przeżera. Najwyższy czas, by władze nasze energiczniej zabrały się do nasyłanych ezekistów. Oby te strzały z sali sądowej obudziły jednych i drugich.

W SZPITALU ŻYDOWSKIM.

Jest pół do czwartej. Przed drzwiami tłum nędzarzy z paczkami w rękach. Szmer: „Co jest? Czemu zamknęli? Jeszcze tylko pół do czwartej”. Stoje 5 minut w ścisku. Chodnik i pół

jezdni zajmujemy my, t. j. ja i tłum obdartusów z ghetta. Przechodnie omijają mrucząc z niezadowolenia. Dorożkarze i furmani z wozami ciężarowymi poprostu klną. Po chwili drzwi się otwierają. — ukazuje się w nich jakiś jegomość, prawdopodobnie woźny. Osobą swą zagradza wejście, wzrokiem myszkuje wśród tłumu. Jakiś osobnik przemyka się do wnętrza. Tłum chce iść w jego ślady. — „Nie wolno. Tamten, co przeszedł, to był swój, tutejszy”. Przeciskam się naprzód. — „W jakich godzinach odbywają się przyjęcia?” — zapytuje — „Tam na bramie napisane” — brzmi odpowiedź. — „A gdzie brama?” — „Od ulicy Szpitalnej”. Wędruję na Szpitalną, szukam bramy. Na niej nie ma, oprócz napisu, że jest to brama szpitala. Wracam. Tłum wystaje wciąż cierpliwie. Po minutach pięciu znowu otwierają się drzwi, ukazuje się ten sam osobnik i flegmatycznie obserwuje cisnącą się ciżbę. Ku niemu wyciąga się dziesiątki rąk z pakunkami. — „Przynajmniej paczki proszę doręczyć”. — „Potem” — brzmi spokojna odpowiedź. Osobnik w dalszym ciągu obserwuje z godną podziwu flegmą denerwujący się tłum. Przeciskam się znowu naprzód. — „Co za szykany? Na bramie nie ma obwieszczenia o godzinach przyjęć!” — huknąłem. To podziało. Osobnik cofnął się na stronę i zaprosił mnie do środka, ale tylko mnie. — „Wniosem skargę do Zarządu Miejskiego za szykanowanie” — nie ustawałem w tupecie, który okazał się tak skutecznym. — „Ja nic nie wiem. Robię, co mi każą. Tu jest pan kierownik. Z nim proszę pomówić”. — wskazał ręką jakiegoś jegomościa wyglądającego na inteligenta. — „Proszę Pana, przebież tu maltretują ludzi”.

„Jakich ludzi?”

„Tych tam przed drzwiami”.

„To nie są chorzy?”.

Tyle pewnością było w głosie p. kierownika, że odpadła mię chęć dalszej dysputy z człowiekiem, który uważa, że tylko chorzy nie można maltretować. Opowiedziałem swoje przygody i powtórzyłem groźbę zaskarżenia w Zarządzie Miejskim.

„Proszę, niech pan skarży. A jak nazwisko chorego?” Wymieniłem. Po chwili p. kierownik, zajrzawszy do księgi, oznajmił że chory leży w sali Nr. X i że mogę tam wejść. Oglądam się szukając szatni. Gest p. kierownika zdaje się mówić, że mam iść na górę w płaszczu i kaloszach. Rzeczywiście szatni nie widać. Może jest tam na górze? Dochodzę aż do drzwi wskazanej sali — a szatni nie widać. Tu przynajmniej posłanawiam zostawić kalosze. Ledwie uczyniłem parę kroków w salę, wołają mnie spowrotem. Pielęgniarka ma coś do powiedzenia. Aha, widocznie tu w płaszczu wchodzić nie wolno! Gdzie tam, chodzi o to, żebym włożył znowu kalosze i szedł w nich na salę, bo na korytarzu mogą ukraść. Wędruję tedy w kaloszach na salę chirurgiczną, gdzie leżą chorzy z ranami ciałem, nieropnemi. Cóż wy na to medycy ze szkoły prof. Michejdy?

Rozumiem, że się pracuje w warunkach wyjątkowo trudnych, że środki są ograniczone, ale tłum wystający godzinami na chodniku i na jezdni, tamujący ruch i wywołujący bardzo przygnębiające wrażenie w przechodniach, ale brak wiązki i miejsca na pozostawienie kaloszy, to już niechlujstwo i urąganie z ładu społecznego i higieny.

SKARGI NA POKRZYWDZENIE NAUKI RELIGJI.

Pisma klerykalne coraz częściej sięgają różne fałszywe informacje o upośledzeniu nauki religji w szkołach. Oto próbka:

„Umieszczanie w programie szkolnym nauki religji w rzędzie godzin nadliczbowych spycha się (sic) ją do kategorii nauk robót ręcznych, gimnastyki i t. p.”. (Mały Dziennik, 24.XII 1935 r., Okólnik Bartla przeciw istniejącemu).

Obskurtność stylu tej notatki idzie w parze z ignorancją sprawy, o które się pisze. Gdzie ów informator widział taki program szkoły powszechnej, w którymby była mowa o jakichkolwiek godzinach nadliczbowych? Taki nie istnieje, a tem bardziej nie może istnieć zaliczenie do godzin nadliczbowych gimnastyki i robót ręcznych. Te przedmioty cieszą się specjalnym uprzywilejowaniem i opieką, jako posiadające znaczenie niemal wyłącznie wychowawcze. Autor notatki ma rację w tem tylko, że religja w programie zajmuje taką pozycję jak roboty i gimnastyka. — to jest uprzywilejowane ze względu na to, że przedewszystkiem wychowuje.

Nauczyciele religji i katecheci posiadają również przywileje uświęcone tradycją. Na podstawie tego, że mają swoje specjalne obowiązki, nie pełnią wychowawstw klasowych a w związku z tem wolni są od wielu prac wychowawczych i kancelaryjnych, które ciążyą na innych nauczycielach.

Jednym słowem notatka „Małego Dziennika” jest białym, demagogiczna, zwrócona przeciwko szkolnictwu, w którym katecheci zajmują uprzywilejowane stanowisko. Takich notatek zjawia się coraz więcej, tego już nie można lekceważyć.

169870 60-
27.874

